

# TYGODNIK KOBIECY

CENA  
50 GR.

Nr. 2-6  
sierpień  
1936r.







130. PŁASZCZ OD DESZCZU Z NIEPRZEMAKALNEJ GABARDINY.

131. REGLAN SPORTOWY Z GRUBEJ BRONZOWEJ WEŁNY, ZAPIĘTY NA JEDEN RZĄD GUZIKÓW.

132. PŁASZCZ Z CZARNEGO WELWETU ANGIELSKIEGO O DUŻYCH STĘBNOWANYCH WYŁOGACH.

133. SUKNIA DO ZAŁOBY Z CZARNEJ WEŁNY. KAMIZELKA I RĘKAWY WYKONCZONE KREPĄ.



# TYGODNIK KOBIET

ROK II. Nr. 26

SIERPIEŃ 1936 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NATOLIŃSKA 9 m. 13 — TELEFON 7-08-03

## DROGĄ W NIGDZIE

DOKOŃCZENIE

Przyrzekam przekazanie jej sprawy adwokatom i wchodzę do następnej celi.

Zupełnie samotnie wita mnie w niej szczupła, bardzo ładna, jeszcze młoda kobieta. Odrazu zaczyna płakać. Łzy buchają jej z oczu, jakby ich miała niewyczerpane źródło, spływają potokiem po twarzy, kapią na ręce i piersi. Uspakajam, jak umiem. Jesteśmy same; mówię wszystko, co powiedzieć mogę. Naprawdę. Z piersi nieszczęsnej wydiera się wraz z łkaniem straszliwa spowiedź. Była żoną oficera... Lubiła się bawić... Nie mógł nastarczyć, a na takie sprawy czyhają ci, którzy za pewne usługi sownie płacą... Miała znajomości dzięki stanowisku męża... Plany... rysunki dostały się w obce ręce...

Przechodzi mnie mrowie. Co jej powiedzieć? Patrzą ze zgrozą w zapłakaną twarz:

— Czy pani ma dzieci?

Ma. Jedyną córkę. Jakżeż ta kobieta, mająca dziecko, mogła się zdobyć na wydanie na łup nieszczęścia dzieci tyłu, tyłu innych matek w Polsce!! Jestem bezsilna wobec okropności życia tej zbłąkanej. Bezsilna, pełna obrzydzenia, żalu, zgrozy, litości... Nazwisko dwuczłonowe zdradza mi jej sferę...

— Niech pani kuratorka wstawi się za mną do rodziny. Ja już stąd przecież nie wyjdę... Więc niech mi tylko przebaczą... I żeby Lucia... żeby matce przebaczyła... Ona chce się zapisać do Czerwonego Krzyża... Marzy o pracy w okolicy tyfusowej... Ekspjacja...

Wstrząśnięta do głębi opuszczam tę ofiarę własnych namiętności. Cóż jej poradzić? W czym pomóc? Jakże potworne zakamarki istnieją w człowieku, jakież straszliwe moce czekają na chwile słabości niestrzeżone przez wolną wolę!

Następne drzwi. Cela urządzona skromnie, ale z pewnym dążeniem do komfortu. Pod ścianą stoi ta, która przed kilku laty poruszyła do głębi całą kobiecą opinię publiczną, zagadka dla psychologów, bohaterka ponurego romansu i tragicznego zakończenia. Przygląda mi się chciwie. Dziwna i niecodzienna twarz. Kontroluję czempredzej samą siebie: uprzedzona? nie, sentymentalna? nie, ciekawa? chyba nie — tyle już widziałam takich twarzy! Ale ta jest jakaś inna; dolna jej część mocna, brutalna, o szeroko zarysowanych szczękach i zaciśniętych ustach, ma podbródek długi i tępy: przypomina owcę, głupią i upartą owcę; w górnej części uderzają wspaniałe szafirowe oczy w głębokiej przesłonicznej oprawie, długie jasne rzęsy i zupełnie prawidłowe łuki brwi pod łagodnie sklepieniem, doskonale równym czołem... Rozmawiam z nią, jednocześnie szukając w myśli określenia tej dziwnej, niecodziennej kobiety. Już wiem: rozpustnica o pozorach świętej!

Szeregami ciągną się drzwi wzdłuż korytarzy. Obchodzę wszystkie, wysłuchując próśb, żalów, interesów. Wchodzimy do pawilonu pracy. Robią tu kilimy, dywany, a wszystko z angorskiej wełny króliczej, przysyłanej z całego kraju. Przy warsztatach peł-

no kobiet, pracujących w ciszy i skupieniu. Oglądam rysunki: przesłoniczne wzory geometryczne, postacie, kwiaty, zwierzęta; mienią się artystycznie dobrane kolory: błękit obok brunatnego tła przetkany jest lekkim nalotem zieleni; ciemny szkarłat barwi się na jasno piaskowym deseni.

— Skąd pani ma te wzory? — pytam rysowniczkę.

— Z głowy, proszę pani kuratorki, — odpowiada prosto i szczerze, — przypominam sobie, jak jest to na wolności i jakoś wychodzi. Niebieskie — to niebo, zielone — drzewa, kremowe — piasek, brązowe — ziemia, a reszta — to wszystkie kwiaty na świecie.

Ach, więc znalazł tu swój wyraz pęd do wolności, więc w te twarde, ścisłe chodniki i dywany wetkana jest tęsknota...

Mijamy pawilony, korytarze, sale, kuchnię, pralnię. Wszędzie wre praca, wszędzie witają mnie zdziwione, a potem tak wdzięczne spojrzenia. Zeszyt przepełniony mam notatkami, serce ciężkie od tyłu nieszczęść i żalów.

— U mnie baby robią wszystko! — chwali się naczelnik. — I dom wybudują, i w kuchni pracują, i orzą, i sieją.

— A jakże pan daje sobie radę z histerją? Napewno dużo ma pan wypadków i ataków?

— Taż one biidne, pani! — wykrzykuje starzec. — Ta pomyśl pani, pani kuratorko: kobita a nie-kobita! To ja i nie widzę często i nie słyszę. U nich inna psychika, jak u mężczyzn.



Im trzeba czasem na rękę iść, dać serce wypłakać, pozalić się, poskarżyć. One-ż dosyć sobie w życiu nie-szczęścia narobiły! To ja i te płacze rozumiem. Straż mnie melduje, jak wszystko w porządku, a one wiedzą, że „stary” dobry, ale jak krzyknie, to nie daj Boże! A i do „paki” wsadzam, a jakże! I wtedy ja oostroy! — tłumaczy mi z powagą.

Patrę w wysuszone starcze rysy: stanowczy ale dobry człowiek, który wiele przeżył i dużo zrozumiał.

Po długiej służbowej rozmowie poznaję kuratorkę miejscową. Zamieniamy wiele serdecznych słów i spostrzeżeń, dajemy sobie wskazówki w naszej pracy, omawiamy potrzeby. Już późno. Pani W. zaprasza mnie do siebie: mieszka w majątku odległym

o kilka kilometrów. Siadamy do samochodu.

Znowu droga. Długa, wijąca się pośród pięknych, dostatnich pól, przecinająca cieniste lasy, mijająca zagrody o bielonych ścianach. Słońce pali, w powietrzu wisi czerwiec... Jak cicho!

Oddalam się od czerwonego budynku, wracam drogą w życie, wracam z nieistnienia. *Zofja Petersowa*

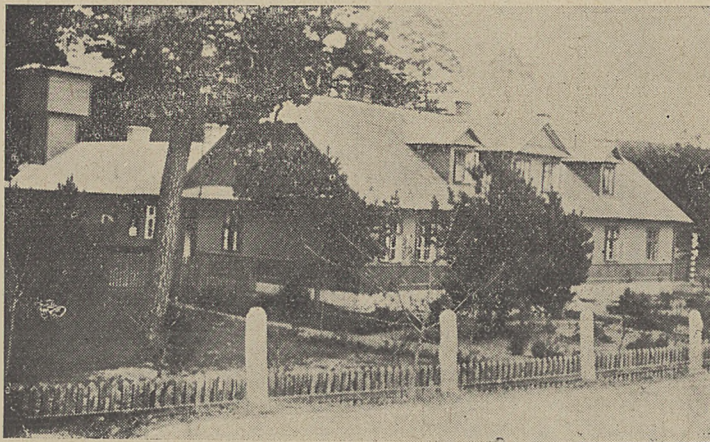
## NASZA RODZINA POLICYJNA

(Wywiad z p. generałową Kordjan-Zamorską).

Nasze granatowe mundury, nasza policja państwowa cieszą się coraz większymi sympatjami społeczeństwa. Jest nadzieja, że jej kadry, szkolone w swych zaczątkach przez instruktorów angielskich, zyskają coraz większą popularność i że u nas wytworzy się ten sam przyjacielski stosunek między publicznością a policją, jaki łączy olbrzymiego angielskiego „Bobby” z tłumem, z przechodniem, z dzieckiem, a nawet z przebiegającym ulicę kotem czy psem.

Boleśnie dotyka każdego obywatela wiadomość o powtarzających się tak często w Polsce bandyckich napadach na policję, napadach, przy których giną pełniący swój obowiązek posterunkowi lub przodownicy. I współczucie nas ogarnia, gdy czytamy dalej, że taki młody policjant osierocił żonę i dzieci i że zaopatrzenie rodziny ze względu na krótkie lata służby jest minimalne.

Dlatego też dobrze jest, by wiedzianno, że taka wdowa czy sieroty nie są zdane na łaskę losu. Że opiekuje się nimi ktoś odpowiedzialny, że mają swoją rodzinę, rodzinę troskliwą, Rodzinę Policyjną. Wielką jest Rodzina Policyjna i ma swoich członków rozsianych po całej Rzeczypospolitej; pełnią swój obowiązek na najbardziej wysuniętych granicach, na najbardziej zapadłych posterunkach. Akcja Rodziny Policyjnej obejmuje 17 województw, 250 kół powiatowych i mnóstwo małych placówek, których przedstawicielki porozumiewają się między sobą i z kołami powiatowymi przy pomocy łączniczek. Wielką rolę i dodatni wpływ na działalność Rodziny Policyjnej wywiera osobisty kontakt z Głównym Zarządem, którego członkinie objeżdżają województwa. Pani generałowa Zamorska, przewodnicząca Rodziny, objechała już sama 13 województw. Z wielką gorliwością i zapałem opowiada p. Zamorska o działalności Rodziny Policyjnej i jej zawdzięcza garść ciekawych szczegółów, którymi chcę się tu podzielić z czytelnikami.



Jeden z leśnych domów prowincjonalnych „Rodziny policyjnej”

Rodzinę Policyjną założono sześć lat temu. Założycielką była żona ówczesnego komendanta policji, p. Jadwiga Maleszewska.

Jakkolwiek Rodzinę Policyjną założono na wzór Rodziny Wojskowej, ma ona jednak trochę odmienny zakres działania. Sytuacja finansowa tej instytucji jest bardzo dobra, gdyż posiada ona 24.000 członkiń rzeczywistych i 17.000 członków nadzwyczajnych, a wszyscy płacą składki w wysokości 50 groszy miesięcznie. Rodzina posiada liczne przedszkola, ale głównie rozbudowuje sieć swoich burs i zakładów wychowawczych, w których roztacza całkowitą opiekę nad sierotami po policjantach. Takie bursy i zakłady istnieją już we Lwowie, Stanisławowie, Adamowie i Brześciu, a Zakład Skolimowski przenosi się w najbliższym czasie do własnego domu w Sochaczewie. Ponadto posiada Rodzina Policyjna własny dom wypoczynkowy na 150 dzieci w Michalcach nad Dniestrem, a koła powiatowe urządzają półkolonje i kolonje we własnym zakresie.

W trosce o zdrowie powierzonych sobie dzieci, a także dzieci mniej zamożnych lub liczną rodziną obciążonych policjantów, instytucja wysyła dzieci na kolonje lecznicze do Rabki, Druskiennik, Ciechocinka.

Zapytuję p. generałową Zamorską, w jakim kierunku kształcą się dzieci, nad którymi Rodzina Policyjna roztacza swoją opieką.

„Idziemy po ilnji praktycznego wychowania i staramy się, by powierzone nam dzieci otrzymały wykształcenie zawodowe, by miały chleb w ręce. Dotychczas mało jeszcze mamy sposobności ocenić, jakie wyniki da w końcu nasze wychowanie, ale mamy już np. dwie uczennice w seminarjum ochroniarskiem w Radzyminie. Naturalnie, że jeżeli dziecko okazuje jakieś niezwykle zdolności, staramy się umożliwić mu rozwój i kształcenie się w kierunku, w którym idą jego uzdolnienia. Tak samo zresztą, jeżeli które z dzieci wykazuje jakieś nienormalności, jakieś niedorozwinięcie, przenosimy je w odpowiednie środowisko, bo przekonaliśmy się, że mieszanie dzieci zdrowych z upośledzonymi nie jest pożądane.

„Chciałabym, mówi dalej p. Zamorska, żeby społeczeństwo wiedziało, że nasz policjant, że nasza Rodzina Policyjna nie zasklepiają się w kółku własnych ciasnych interesów. Prawie we wszystkich kołach powiatowych policja opodatkowała się i za pośrednictwem Rodziny Policyjnej zorganizowała pomoc i dożywianie dla bezrobotnych i najuboższych sfer społeczeństwa.



czeństwa. Ta akcja charytatywna przyczyniła się w wysokim stopniu do nawiązania wspomnianych na początku tego artykułu stosunków przyjacielskich między ludnością a policją.

Pozatem wszystkie wydziały Rodziny Policyjnej, a więc wydział kulturalno-oświatowy, wydział organizacyjny, dalej opieka nad dzieckiem, opieki nad wdowami i wydział prasowy, starają się żyć w stałym kontakcie ze społeczeństwem i współpracować wszędzie, gdzie chodzi o pracę obywatelską i obowiązek wobec państwa.

Wielką zasługę na polu walki z przestępczością nieletnich położyła

Rodzina Policyjna, ufundowawszy w Warszawie Izbę Przytrzymań, przez którą przewija się miesięcznie około 600 dzieci. Uniemożliwienie kontaktu ze światem przestępców, z którymi dzieci obwinione nieraz tylko o drobne przekroczenia, musiały się dawniej stykać w komisariacie, lub w więzieniu, jest teraz zapewnione. Tak zbiwnym okazał się system Izby Przytrzymań, że Rodzina Policyjna w najbliższym czasie otwiera podobne instytucje we Lwowie i Wilnie. Rodzina Policyjna wykazała też duże zrozumienie dla walki z nierzędem i jej staraniem utworzona jest i prowadzona komisja walki z nierzędem,

jedna z 12 komisji wchodzących w program mającego odbyć się w roku przyszłym kongresu polityczno-obywatelskiej „Pracy Kobiet”. Bardzo czynnym jest także wydział kulturalno-oświatowy.

W ostatnich miesiącach zaznaczył się coraz większy postęp, żywotność i ruchliwość tej bardzo pożytecznej instytucji, jednej z wielu świadczących o tem, że Polka wszędzie i zawsze świadoma jest swoich obowiązków pracy nad dobrem państwa w myśl wskazówek i planów jej Odnawiciela.

Stanisława Goryńska

## WARSZAWSKA JEDYNACZKA

Prowadzą do niej schody szerokie, marmurowe. Spoczątku podeszwy odbijają się pneumatycznie od gumowej powierzchni chodnika. Potem idą cicho po purpurze dywanu. Aż wreszcie wysoko stukają już bezkarnie po chłodnej powierzchni kamienia.

U szczytu są drzwi duże, a za nimi gwar i hałas wielu bardzo głosów. W dużym hall'u ktoś pyta u przejmie:

— Pani w jakiej sprawie?

Pada nazwisko wraz z wyjaśnieniem, że:

— Pani dyrektorka czeka na mnie.

I zaraz w gabinecie wita przyjazny uśmiech, spokój i powaga pracy. I takie duże, wyhołubione, lśniące figusy.

— Chciałabym wiedzieć ile szkół tego rodzaju jest w Warszawie?

— Było ich dużo, około 20-stu— wyjaśnia pani dyrektorka. Ale je pokasowano. Nie miały odpowiednich lokali, ani dość wykwalifikowanego personelu. Nie było właściwej, fachowej kontroli. Nie mogło też być odpowiednich rezultatów z pobieranej nauki.

Nasza Państwowa Szkoła Pracy Domowej pozostaje, jako jedyna w Warszawie. Druga jest w Wilnie. Nasza pracuje od 1918 r.

W ciągu roku szkolnego uczą się w niej przeciętnie 1252 dziewczynki. Z 11-stu szkół Powszechnych.

Bo proszę pani, — mówi dalej pani dyrektorka — do naszej szkoły chodzą dziewczynki z 6-go i 7-go oddziałów szkół powszechnych. Nauka obowiązuje przez dwa lata, po sześć godzin tygodniowo.

Program obejmuje dział gotowania, szycia, prania i sprzątania. Zajęcia są praktyczne, z uwzględnieniem teorii.

Dziewczynki dzielone są na grupy według zajęć. Zresztą najlepiej bę-

dzie, jak pani sama zobaczy je przy pracy.

Idziemy. Pokój nauczycielski. Sala rekreacyjna przestronna i pogodna. Na ścianach afisze i sentencje praktyczno-życiowe:

„Tu sceruję,

„Tu dam łąkę

„I zarobię sobie tem”, głosi jeden z nich z wymalowaną dziewczynką, zatopioną w szyciu.

Pod ścianą chluba pani dyrektorki: Szafa na ubrania dla nauczycielek! Dwanaście przegród, gdzie mogą chować suknie, palta i obuwie, przebierając się w robocze, białe fartuchy.

— To był jeden z pierwszych wydatków z zapomogi—dodaje uśmiechnięta.

Idziemy zwiedzać kuchnie.

Są trzy. W jednej, są kuchnie do węgla, piekarniak, kuchnie gazowe, kocioł do bielizny, szafa, zmywalnie.

Odbywa się właśnie lekcja. Nauczycielka omawia temat danego dnia: „Jak zużytkować resztki”. Padają pytania i odpowiedzi. Jedne pewne, z całkowitą świadomością mówione i umotywowane. Inne trochę niepewne.

Wiadomo. Nietyle peszy pani dyrektorka, ile ta obca pani, która notuje coś na karteczce.

— Więc co będzie z resztek?

— Sałatki.

— Dobrze. A jakie, z czego? Na stołach stoją przygotowane produkty na obiad, wyważone i obliczone według ułożonego menu. Więc zupa „powidlanka” z kluskami francuskimi, pieczeń, kartofle i sałata, kisiel czekoladowy.

— A jakbyście zrobiły „powidlankę”?

I znów odpowiedzi, i dwa palce podniesione do góry, wyrażające cał-

kowitą odpowiedzialność za znajomość tematu.

A potem druga kuchnia, gdzie pod kierunkiem młodzieńkiej nauczycielki uczennice z 6-go oddziału omawiają obiad „improwizowany”. Urządzenie kuchni wzorowe, wraz z indywidualną kuchenką.

— Dziś mamy zupełną boćwinę. Bukiet z jarzyn z ziemniaczkami i kompot z rabarbaru — recytuje uczennica.

Następnie omawia się sposób zrobienia potraw i gotowanie w garnku. Jednej z uczenic płoną oczy. Wszystko wie. Chciałaby odpowiedzieć na każde pytanie.

Wreszcie w trzeciej kuchni gotuje się obiad z resztek, wraz z dodatkami.

Obiady ugotowane zjadają uczennice, płacąc 6 zł. i 8 zł. rocznie za zużyte produkty.

Zdobytą umiejętność niosą tryumfalnie do domu. Tam odbywają się dyskusje z matkami, udzielane są im wskazówki praktyczne i doradzane oszczędności menu. I w ten sposób krzesi się pojęcie racjonalnej gospodarki z punktu widzenia ekonomicznego i oszczędnościowego. Powstaje rocznie zastęp młodych, dobrych gospodyń.

Ale nie dość na tem. Przy szkole zorganizowana została bezpłatna „Poradnia gospodarcza” dla matek uczennic. Odbywają się pogadanki z zakresu racjonalnej gospodarki domowej i spraw odżywiania. Konferencje, pokazy tanich potraw witaminowych, które się za darmo próbuje. Każda matka może pytać i otrzymuje indywidualne odpowiedzi. Sprzedawane są jadłospisy wykalkulowane na daną ilość osób, z całym kosztorysem. A również tanie przepisy, przepisywane na roneo w cenie 10 — 15 gro-



szy. Te pokazy i pogadanki cieszą się ogromnym powodzeniem, wywołują duże zainteresowanie i wdzięczność ze strony kobiet, które uczą się, że „za te same pieniądze” może być jednak inaczej. Znaczenie społeczno-kulturalne tych pogadań nie może podlegać dyskusji.

Jedną z pań nauczycielek jest stałą delegatką do tych spraw, a Instytut higieny daje wskazówki i pomaga w układaniu jadłospisów.

Prowadzony jest specjalny dział produktów zastępczych. Tam, z pomocą poglądowo zestawionych produktów uwidaczniane jest co i czym można zastąpić. Np. zamiast ryżu — różne kasze; soja zamiast kawy; orzechy za migdały i t. p. Zamiast herbaty napoje z liści borówek, poziomek, ogonków wiśniowych i wreszcie miły w smaku napój z suszonego głogu.

Herbata najtańsza kosztuje 20 zł. kilo, a głóg 2 zł. 60 gr. — objaśnia uczenica. W Niemczech Hitler kazał sadzić wszędzie głogi i pić zamiast herbaty. Ma to być napój narodowy niemiecki — dodaje.

Okazuje się również, że eksportujemy do Anglii bardzo dużo suszonego kwiatu lipowego, który my używamy jedynie na lekarstwo.

Ale od tych rozważań odrywa głos, nawołujący do obejrzenia innego działu.

A więc szwalnie. Trzy sale do szycia, sześć maszyn żelazka, deski, wszystko co potrzebne do roboty. Dziewczynki szyją z własnych materiałów według ustalonego programu.

Każda po pierwszym roku nauki zabiera dorobek w postaci fartucha i czepeczka do pracy, koszuli i majtek, kombinezki, sukienki chłopki albo z lnianego płótna.

— Poza tem obowiązkowe jest trykotarstwo — wyjaśnia pani dyrektorka. Oprócz tego uczymy cerowania i łałania. No to poświęca się specjalną ilość godzin. Dziewczynki przynoszą z domu bardzo podarte rzeczy, a odnoszą naprawione, do niepoznania.

Poza tem, jeżeli w domu zajdzie potrzeba uszycia czegoś dla rodzeństwa, to wolno uczenicy szyć w szkole taką potrzebną robotę. Zwłaszcza, jeżeli matka tej roboty nie potrafi zrobić.

— A czy uczą się kroju?

— Kroją według szablonów wydawanych przez ministerstwo W. R. i O. P.

Przechodzimy do drugiej i trzeciej sali. Tak samo jasno, pogodnie, czysto i miło. Dziewczynki pracują z dowolonemi minami, sporządzając swoje wyprawy.

W drugim roku nauki szyją bluzkę, spódnicę, szlafrok, koszulę nocną i suknię. Rodzaj materiału może być dowolny. Obowiązuje nadal trykotarstwo, łałanie i cerowanie. O ile któraś się pośpieszy z robotą i zostaje jej pewna ilość godzin, to wolno jej szyć lub haftować na lekcji poza programem.

A kiedy się kończy rok szkolny, pogodnie sale zmieniają na parę dni oblicze. Urządza się w nich wystawę — pokaz prac, wykonanych przez uczennice. W jednych salach rozkła-

da się grupami to, co uszyły. W innych ich kulinarne wyroby.

Na estetycznie nakrytym stole stoją poustawiane potrawy.

— To, proszę pani, obiad na 4 osoby — wyjaśnia dyżurna uczenica. Koszt dzienny utrzymania 70 gr. Na obiad wypada 35 gr. na osobę. Ugotowano krupnik, jaja sadzone, szpinak, kartofle (młode) i kisiel zórawinowy.

Na innym stole też obiad na 4 osoby przy koszcie dziennym 1 zł., w czem 53 gr. na obiad. Menu inne.

Na ostatnim stole obiad za 65 gr. na osobę przy koszcie dziennym 1 zł. 20 gr.

— Mamy zupełną szczawiową z jajkami, zrazy cielece nadziewane ogórkiem i jajkiem, marchewkę, sałatę i krem pomarańczowy — mówi poważnie jedna z wykonawczyń obiadu.

A dalej stół, na którym ustawiono 9 potraw różnorodnych z rabarbaru. Apetyczne, tanie, pożywne i chłodzące. Przyczyna wielkiej sensacji, w każdym domu, do którego wpada córka ze szkoły i woła:

— Mamusiu zróbmy zupełną z rabarbaru albo krem, czy dżem.

Potem się próbuje, wszyscy się dziwią. Sąsiadki nasładowują. Zdobyta nauka rozprzestrzenia się prędko wkoło. Powoli do mas przenika świadomość o złem i wadliwym odżywianiu „za te same pieniądze”. Stopień kultury się podnosi w każdej rodzinie, gdzie jest uczenica z warszawskiej jedynaczki.

Marja Dobrowolska

## FUNDUSZ PRACY

W roku 1932 i 1933 Polska znalazła się na t. zw. „dniach” kryzysu gospodarczego. W okresie tym polityka państw zetknęła się szczególnie ostro z trudnym zagadnieniem bezrobocia. Przytłumione tętno życia gospodarczego wymagało zastrzyku dla pobudzenia i wzmoczenia jego działalności. Wysoki poziom bezrobocia, częstokroć brak środków do życia u szerokich warstw ludności stwarzał konieczność wzięcia ich pod opiekę państwa i zapewnienia im przynajmniej minimum egzystencji. Posunięcia w tym kierunku datują się już od roku 1931, gdy kolejno zostały utworzone: Naczelny Komitet do Spraw Bezrobocia, Fundusz Pomocy Bezrobotnym i Biuro do Spraw Zatrudnienia bezrobotnych.

W r. 1933 został powołany do życia Fundusz Pracy, któremu ustawa stawiała jako cel: „dostarczenie

pracy lub środków utrzymania osobom pozbawionym pracy i nie mającym innych środków do życia, przedewszystkiem drogą uruchamiania robót publicznych lub robót o znaczeniu publicznym”.

W r. 1935 do Funduszu Pracy został włączony Fundusz Bezrobocia. W tymże roku Fundusz Pracy przejął agendy rozwiązanego Stowarzyszenia Opieki nad Niezatrudnioną Młodzieżą. W ten sposób w końcu tego roku Fundusz Pracy obejmował szeroki zakres akcji walki z bezrobociem, przeprowadzając tę walkę przedewszystkiem drogą organizowania i finansowania *robót publicznych* w celu zatrudnienia bezrobotnych. Przystosowując się do sytuacji, Fundusz Pracy uzupełnił akcję zatrudnienia organizowaniem *pomocy doraźnej żywnościowej i opałowej* oraz *akcją zatrudnienia młodzieży*,

połączoną z *przysposobieniem zawodowym* oraz *pracą społeczno-wychowawczą*. Poza tem do okresu działalności Funduszu Pracy należy *pośrednictwo pracy* oraz *zabezpieczenie robotników na wypadek bezrobocia*.

Zasadniczym celem działalności Funduszu Pracy jest jednak finansowanie i organizowanie robót publicznych. Inne akcje mają charakter bądź uzupełniający, bądź też umożliwiający prawidłową, należytą i skuteczną organizację robót.

Roboty Funduszu Pracy zatrudniają w pełni sezonu do 170 tysięcy ludzi, poza zatrudnionymi pośrednio przy produkcji materiałów potrzebnych do robót. Wpływ zatem tej akcji na rynek pracy jest olbrzymi.

Obok robót finansowanych przez Fundusz Pracy, resorty władzy państwowej oraz samorządy prowadzą



w swoim zakresie równorzędne roboty publiczne.

Co różni działalność Funduszu Pracy od działalności innych instytucji wykonujących te prace? Różnicą zasadniczą jest cel i charakter robót.

W biurach pośrednictwa pracy Funduszu Pracy rejestruje się dziś liczba bezrobotnych, wahająca się od 300 do przeszło 500 tysięcy bezrobotnych, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, które stanowią około 20%, ogólnej liczby. Jest rzeczą wiadomą, że rejestracja ta nie obejmuje wszystkich bezrobotnych. Ogólną ich liczbę w miastach możemy ocenić w przybliżeniu na około 1 miliona ludzi. Ludzie ci są wraz z rodzinami pozbawieni środków do życia. Zapewnienie im tych środków jest kardynalnym obowiązkiem państwa.

Spróbujmy nawet stanąć na przestarzałym już dziś stanowisku, że państwo ma czuwać tylko nad tem, żeby umożliwić warunki samorodnej poprawy gospodarczej, która wciągnie tych ludzi do pracy. Czy możemy wogóle oczekiwać, że w tych warunkach, kiedy miliony obywateli cierpią głód i są wytracone z ram społeczeństwa, zrealizowane będą niezbędne warunki spokoju i zaufania, w którychby poprawa mogła być dokonana?

Zadaniem Funduszu Pracy jest właśnie i przede wszystkim opieka nad rzeszami ludzi wypchniętych z warsztatów pracy. Państwo tworząc Fundusz Pracy stanęło na stanowisku, że los tych ludzi nie jest mu obojętny, że nie pozostawi ich samych sobie.

Rzecz prosta, że każdy resort administracji państwowej nie ma i nie może mieć na widoku tych celów, lecz tylko zadania, którym poszczególne resorty służą. Również samorząd, do którego funkcji należy walka z bezrobociem, częstokroć stara się przenieść brzemień walki wyłącz-

nie na Fundusz Pracy. Instytucje te, budując kolej, drogę, lub gmach publiczny poszukują robotników najtańszych. Angażując robotników na roboty publiczne nie liczą się z warunkami materialnymi, ani rodzinnymi. Nie bierze się pod uwagę czy robotnicy ci mają, czy też nie mają innych źródeł utrzymania. Cel gospodarczy roboty całkowicie przestania jej cel socjalny. O ile robotnik wiejski jest tańszy, to nie bierze się pod uwagę, że w sąsiednim mieście istnieją tysiące robotników miejskich, których brak pracy pcha do ostatecznej nędzy i deklasuje. Dlatego na robotach tych pracują przeważnie wieśniacy, którzy szukają na nich zarobków ubocznych.

Inaczej rzecz się ma w Funduszu Pracy. Finansowane przez niego roboty mają spełnić określone cele gospodarcze. Przede wszystkim jednak Fundusz Pracy służy celom socjalnym, czuwając nad zmniejszeniem tarć i zapewnieniem harmonii rozwojowi społecznemu i gospodarczemu. Osiągane jest to przez kierowanie do robót właściwego elementu ludzkiego, a więc najbardziej dotkniętego bezrobociem i przez regulowanie stawek płac na robotach, w celu utrzymania ich na poziomie jaki ustalił przemysł prywatny danego rejonu.

Powyższe cele Fundusz Pracy spełnia zapomocą swego aparatu pośrednictwa pracy i kontroli robót. Zawierając umowę pożyczkową czy dotacyjną z kredytobiorcą, resortem władzy państwowej, samorządem, czy też instytucją społeczną, Fundusz Pracy zastrzega sobie spełnienie całego szeregu warunków, dotyczących rekrutacji robotników, norm płac i warunków pracy. Rekrutację przeprowadzają biura pośrednictwa pracy Funduszu Pracy, skierowując do robót element najbardziej tej pracy potrzebujący. Aparat kontroli czuwa nad przestrzeganiem warunków umowy, dotyczących zatrudnienia robotników, skierowanych przez biura

pośrednictwa pracy, wysokości płac, ustawodawstwa socjalnego i tych wszystkich warunków specjalnych, które przewiduje umowa z Funduszem Pracy.

W ciągu trzech pierwszych lat swego istnienia, w okresie 1933/34—1935/36 Fundusz Pracy wydał na swoje roboty około 225 milionów złotych. Żółto-zielone tabliczki z napisem: „Robota finansowana przez Fundusz Pracy”, znajdujące się przy każdej brukowanej ulicy, drodze, gmachu publicznym, czy regulowanej rzeki, świadczą o zasięgu działalności tej instytucji. Ciężka sytuacja finansowa kraju zmusiła do ograniczenia sum preliminowanych na roboty z Funduszu Pracy do 35 milionów złotych w r. 1936/37. Oczywiście okazało się, że sumy były niewystarczające i musiały być uzupełnione przez dotacje Ministerstwa Skarbu i Banku Polskiego. Lokaty Zakładu Społecznych, P. K. O. i t. d., co gwarantuje utrzymanie akcji robót na poziomie w każdym razie nie niższym, niż w latach poprzednich. Baczniejsze zwrócenie uwagi na działalność inwestycyjną państwa pozwala sądzić, że w przyszłości akcja Funduszu Pracy zostanie spotęgowana.

Należałoby sobie życzyć, aby na innych, również robotach publicznych znaleźli pracę nie tylko wieśniacy poszukujący na nich zarobków ubocznych, ale również część przynajmniej tych bezrobotnych, którzy wobec szczupłości zasobów pieniężnych, jakie kraj może przeznaczyć na działalność Funduszu Pracy, nie mogli być przez niego zatrudnieni. Drogą do tego jest rozszerzenie działalności aparatu rekrutacyjnego na całokształt robót publicznych w Polsce. W ten sposób osiągnięty byłby dalszy etap w akcji łagodzenia w najniezbędniejszych przynajmniej rozmiarach tej największej dziś klęski społecznej, jaką jest bezrobocie.

S. L.

## BAJKA W ŻYCIU DZIECKA

Wiadomo, że w przeciwieństwie do bajek fantastycznych większość dzieci nie lubi powiastek umoralniających. Opowiadania w stylu „o grzecznym Kostusiu i nieposłusznym Józiu” lub „Ukarane łakomstwo” wysłuchują dzieci bez entuzjazmu i przykłady przelicznych cnót nie wzbudzają żądzy naśladownictwa. Jakże inaczej słucha dziecko bajki o śnieżycze czy też o nieśmiertelnym „Kopciuszku”. Jakże rozplamieniają się twarzyczki na sam dźwięk wyrazu „Szklana gó-

ra” czy „Złota jabłoń”. Jeżeli w dodatku książka z bajkami jest ozdobiona pięknymi ilustracjami staje się poprostu skarbem, który blaskiem specjalnego uroku opromienia całe dzieciństwo. Lecz im więcej czaru tkwi w bajkach, im większym urokiem owiane są wszystkie fantastyczne legendy, tem większe niebezpieczeństwo ukrywa się w ich treści, która może mieścić podkład, zarówno głęboko etyczny jak niemoralny. I dla tego jest rzeczą niezmiernie wagi, ja-

kie bajki opowiadamy lub czytamy dzieciom.

Zasadniczo powiedzieć można, że bajki pochodzenia rdzennie polskiego zawierają w przeciwieństwie do bajek pochodzenia germańskiego pierwiastek amoralny. Motywem niezwykle często napotykanym w tych bajkach pochodzenia słowiańskiego jest niewspółmierne wywyższenie, jakaś niezasłużona niczem nagroda spadająca na bohatera. Jakże często głupi Maciuś czy Jasiek zostaje podniesiony





Pia Górska – Bajka.

do godności króla i to drogą jakiegoś dziwnego splotu okoliczności, w którym on sam odegrał rolę przypadkowego narzędzia. Będąc małą dziewczynką powiedziała kiedyś zupełnie poważnie: „nie chciałabym być piękną i mądrą królewną, bo napewno dostałabym za męża głupiego pastuszka”. Niewiadomo też dlaczego w wypadku trzech braci dwóch jest pracowitych i chciwych, a trzeci przygłupawy i dobry (ten trzeci zostaje zawsze królem). Samo zestawienie pracowitości z chciwością i ambicji z przewrotną żądzą wywyższenia jest głęboko niepedagogiczne. Prostu połączenie takie wprowadza dzieci na fałszywe tory myślenia i tworzy błędny krąg pojęć.

Przykładów takich znajdujemy w bajkach bez liku. Drugim znanym zjawiskiem w bajkach słowiańskich jest pewien swoisty sposób przedstawiania postaci djabła. Polski diabeł to albo Boruta, wąsаты szlachcic w zielonym kontuszu, lub Rokita (diabeł chłopski), mały, chuderlawy, mieszkający w suchej wierzbie. Zarówno Rokita, jak Boruta wciągają karety z błota, pożyczają pieniądze, ratują za przeróżnych opresyj, wszystko oczywiście za cenę duszy, którą bohater przyrzeka w chwili niebezpieczeństwa na cyrografie krwią własną podpisanym. Prawda, że cena duszy jest niewspółmierna z wyświad-

zoną przysługą, ale od tego djabeł jest djabeł, nie można więc ostatecznie żywić do niego o to urazy. Natomiast obrót tej transakcji kończy się zwykle w ten sposób, że bohater, który lekkomyślnie duszę zaprzedał, chwyciwszy się jakiegoś podstępny cyrograf unieważnia, duszy nie daje, a djabła obitego do piekła wypędza. Okazuje się, że bohater samego djabła przewyższył. I koniec końców biedny polski diabeł, uciśniony we wszystkich bajkach, zyskuje pewną sympatię i pobłażliwość, zrodzoną z przeświadczenia, że jest nieszkodliwy, a czasem nawet pożyteczny.

Zupełnie inaczej ukazują nam postać djabła bajki germańskie. Jakkolwiek w postaci djabła niemieckiego przedewszystkiem podkreślony jest pierwiastek zła, diabeł niemiecki bynajmniej nie jest odarty z uroku fantazji. Ów Mefistofeles, którego najpierw wogóle nie widać, a który potem wyskoczy z kieliszka, z dziurki od klucza, z sowej dziupli, z starej książki, a potem rośnie w oczach, lecz zawsze pozostaje mały na łokieć, posiada stokroć więcej uroku tajemniczości od wąsatego szlachcica Boruty, a nadewszystko ów mały, pokuczony diabełek jest zawsze bezwzględnie zły, nie da się oszukać i budzi nieodmiennie wrogie uczucia. Owa dobroduszość djabła i nagradzanie głupich Jasiów tronem i królewną nie

kwalifikują bajek jako pożądane dla dzieci.

Dwa te motywy są szczególnie charakterystyczne dla bajek polskich, inne natomiast usterki powtarzają się w bajkach zarówno słowiańskich, jak anglosaskich.

Do ujemnych zjawisk często spotykanych należy wprowadzenie motywu cudowności. Moment cudowności nie powinien być nigdy nadużywany i to zarówno ze względu na morał, jak i na artystyczną stronę bajki. Zjawienie się krasnoludka czy czarownicy i cudowna pomoc, której udzielają, powinna być poprzedzona pewnym napięciem sytuacji, powinna być wynikiem pewnego niebezpieczeństwa nie do pokonania, winna być finałem długiej i wytrwałej walki, w której z pomocą ostateczną przychodzą dopiero zjawiska cudowne. Bajka wówczas zyskuje, motyw czarów jest upragnionem, gorąco oczekiwanem, a zarazem jedynym rozwiązaniem sytuacji. Natomiast ów legion duszków, elfów, krasnoludków pod berłem mądrej wróżki, szafującej hojnie kłębkami czarnoksięskim dywanem-samolotem, jabłkiem uzdrawiającym, lustrem zaczarowanym, czapką niewidką, budzi zgoła niepożądane refleksje w duszy dziecka, że bezsensowne są trudy i starania bohatera, skoro droga czarów może wszystko osiągnąć.

Wszystkie refleksje i uwagi zjawiają się w umyśle dziecka nie w postaci natychmiastowej reakcji, lecz zjawiska bajkowe utrwalone w pamięci nakształt obrazu na kliszy fotograficznej trwają tam uparcie i z wolna urabiają pewne poglądy, wpływające na kształtowanie się etyki, wyobraźni i uczuć dziecka.

Napiętnować też należałoby i usuwać z wszystkich bajek opisy wymyślnych okrucieństw i podawanie konfliktów amoralnych. W związku z tem ostatniem przypominam mi się bajka niemiecka w popularnym bajarzu między baśniami Grimma i Anderse-na o Aleeleirauch, w której królewna ucieka z domu króla, ponieważ ojciec (wdowiec) chce ją pojąć za żonę. Przykład to bardzo jaskrawy, lecz inne mniej bijące w oczy gesto są rozsiane wśród bajek wszystkich narodów i nikt nie zastanawia się ile zbędnych przedwczesnych problemów nasunąć mogą myślom dziecka. Motyw okrucieństwa jest daleko częściej spotykany od motywu zasadniczo amoralnego. Najpiękniejsze bajki zniekształcone są opisami, jak to zła macocha każe wyrwać serce i wathrobę pasierbicy, by je usmażyć i zjeść. To znów nielitościwy król każe oczy wydrzeć, a zazdrosna siostra ucina nalcę u nogi by mieć mniejszą stopę. Kara, która spada na złe macochy, chytre czarownice i przewrotnych



władców nie mniej jest okrutna od tortur, które sami zadawali: bywają na śmierć zadręczani w beczkach nabitych gwoździami. lub na wesele zaproszeni muszą tańczyć w rozpalonych trzewikach. Czyż bajka straciłaby na uroku, gdyby usunąć lub złagodzić to wszystko, co winno budzić wstręt lub ohydę? Zdradliwa to droga, by grozą wzbudzać nienawiść do czynów złych i zbrodniczych. Przedstawianie dziecku scen i obrazów pełnych ohydnych okrucieństwa budzi obok lęku pewne instynkty, które rozbudzona wyobraźnia może poprowadzić w fałszywym kierunku przedwczesnego erotyzmu, a czasami sadyzmu. Zjawiska powyższe są zbyt ważne, aby nie brać ich pod uwagę w doborze lektury dla dzieci.

Poruszone motywy odnoszą się do najczęściej spotykanych w popular-

nych bajkach. Charakterystyczne te cechy uchodzą często uwagi osób doświadczone, lecz mogą wpłynąć ujemnie na umysłowość dziecka. Należy pamiętać o tem, że niema bajki obojętnej pod względem wartości moralno-wychowawczej. Każda, najbardziej fantastyczna baśń, oddziałuje bądź drogą wniosków, które dziecko wysnuwa i wrażeń, które odbiera na świeży umysł dziecięcy. Bardzo często lekceważenie wyboru bajek podawanych dziecku nadwyręza jego system nerwowy, lub myślom jego nadaje niewłaściwy kierunek. Literatura dziecięca jest tak bogata, że można znaleźć w niej dostateczną ilość bajek pozbawionych elementów niebezpiecznych, a które poprowadzą dziecko w kierunku prawdy i piękna.

Jadwiga Żylińska

**CHRONI CERĘ**  
od słońca  
i wiatru

PULSA KREM  
URODA  
DO PIELĘGNOWANIA SKÓRY

**PULSA  
KREM  
URODA**

SKT. gT. Warszawa, Wienzłowa 11

## ZAWIADOMIENIE

Zarząd Kobięcej Spółdzielni Wydawniczej z odpowiedzialnością udziałami w Warszawie, zawiadamia wszystkie Członkinie o Nadzwyczajnym Walnem Zebraniu Kobięcej Spółdzielni Wydawniczej, które odbędzie się dn. 21 października 1936 r. o godz. 19-ej w lokalu Klubu Pracy Społecznej, ul. Czackiego 1 m. 7.

Porządek dzienny:

1. Zagajenie.
2. Sprawozdanie Zarządu i wniosek w sprawie reorganizacji wydawnictwa „Tygodnik Kobiety”.
3. Uzupełnienie wyborów do Rady Nadzorczej.
4. Wolne wnioski.

Zarząd

## DWA WSKAZANIA

Prasa doniosła o nadużyciu, jakiego dopuścił się kolektor Loterii Państwowej we Wrześni, niejaki Chaim Szynelewski. Sprawa przedstawiała się w ten sposób: Generalna Dyrekcja Loterii Państwowej otrzymała prywatne zawiadomienie, iż Szynelewski próbował wprowadzić w błąd gracza komunikując mu, że na los jego padła wygrana 250 zł., zamiast 2.500 zł., Generalna Dyrekcja, nie czekając na reklamację zainteresowanego gracza, wydelegowała niezwłocznie do Wrześni swego inspektora, który ustalił, że kolektor wyškrobał w tabeli urzędowej jedno zero w cyfrze 2500, a nadto, że już poprzednio nie wypłacił temu samemu graczowi drobnej wygranej.

Dzięki tej interwencji, gracz żadnej straty nie poniósł. Szynelewski zaś przestał być kolektorem, a osobą jego zajął się prokurator.

Mimo energicznego tępienia przez Generalną Dyrekcję Loterii Państwowej wszelkich tego rodzaju przejawów, trafiają się jeszcze, niestety, czasami niesumienni kolektorzy. Są to wypadki rzadkie, gdyż ogół kolektorów — to solidni i odpowiedzialni kupcy, a znikną one prawie zupełnie, jeżeli gracze sami spółdziać będą z Generalną Dyrekcją w ich zwalczaniu i niezwłocznie zawiadamiać ją o wszystkich zauważonych nieprawidłowościach. Leży to przecież w ich własnym interesie.

Oto np. przed trzema laty zdarzyło się, że jeden z graczy był w posiadaniu ćwiartki losu, na który padła większa wygrana; po ustawo-

potrąceniu dwudziestu procent, należało mu się trzydzieści tysięcy złotych. U gracza tego zjawił się jednak były kolektor, niejaki Dawid Goldberg z Warszawy i oświadczywszy, że należy mu się „prowizja” pięć tysięcy zł., potrącił sobie tę kwotę od wygranej.

Gracz, który widocznie nie przeczytał uważnie przepisów, zamieszczonych na odwrocie ćwiartki losu, a stwierdzających wyraźnie, iż żadnych potrąceń — poza dwudziestu proc. czynić nie wolno — dopiero w jakiś czas później zorientował się, że padł ofiarą wyzysku. Wszczął też kroki o odzyskanie straty, ale oczywiście, rezultat osiągnął dopiero wówczas, gdy zwrócił się o interwencję do Generalnej Dyrekcji. Gdyby uczynił to odrazu, nie czekałby tak długo na pieniądze, pomimo, że Generalna Dyrekcja już dawno pozbawiła Dawida Goldberga kolektury, uważając, iż nie zasługuje on na zaufanie.

Z tego co powiedziano wyżej wynikają dwa wskazania dla graczy: należy zapoznać się z przepisami gry loteryjnej, które można przejrzeć w każdej kolekturze i których skrót uwidoczniiony jest na każdej ćwiartce losu, oraz — należy o wszystkich wypadkach, co do których zachodzi podejrzenie nadużycia, zawiadamiać niezwłocznie Generalną Dyrekcję Loterii Państwowej.

O wskazaniach tych prosimy pamiętać przy odnowieniu losów do trzeciej klasy, której ciągnięcie rozpoczyna się 13 b. m.

**Czytaj  
Poznaj  
Prenumeruj  
Rozpowszechniaj**

**„TYGODNIK  
KOBIECY”**

Pismo wydawane zbiorowym  
na kładem kobiet polskich!



# OKNO NA ŚWIAT

## Triumf policji kobiecej

20-go czerwca nastąpiło w Wilnie otwarcie miejscowej „Izby zatrzymań”, które jest połączone z rozpoczęciem pracy policji kobiecej w Wilnie.

W najbliższym czasie placówki policji kobiecej powstaną w Łodzi, Katowicach, Krakowie i Lwowie.

Warszawskie policjantki zdały celująco egzamin. Próba wprowadzenia w kadry policji kobiet, powiodła się znakomicie. Pomimo licznych sprzeciwów, kobieta w granatowym mundurze okazała się „właściwym człowiekiem na właściwym miejscu”.

Początkowo spotkała się z nieufnością, a nawet żartami. Nikt nie wierzył, że wywiąże się dobrze ze swoich trudnych obowiązków. Okazało się, że społeczeństwo nasze zyskało tylko, a nie straciło na pojawieniu się na ulicy kobiety-policjantki.

Za stolicą poszła prowincja. Prawdopodobnie pierwsze policjantki na prowincji będą musiały, podobnie do policjantek warszawskich, przezwyciężyć liczne trudności, ale niewątpliwie zdobędą sobie w niedalekiej przyszłości ten sam szacunek i uznanie, co policjantki w stolicy.

## Kobieta – wójt

Po raz pierwszy w zjeździe Związku Gmin Wiejskich, który niedawno odbył się w Krakowie, brała udział również kobieta.

Jest nią Małgorzata Jachymiak, góralka z pod Nowego Targu, obecnie pierwsza kobieta-wójt.

Małgorzata Jachymiak własną pracą zdobyła sobie swoje stanowisko. Jeszcze jako młodzianka dziewczyna brała energiczny udział w kołach młodzieży wiejskiej, w kółkach rolniczych i kole gospodyń wiejskich. I wszędzie wybijała się na pierwsze miejsce.

Podczas kampanji wyborczej samorządowej, wywiązała się między nią i ówczesnym wójtem ciężka walka, z której wyszła zwycięsko, dzięki zaufaniu ludności. A przecież b. wójt jest poważnym gospodarzem, a Małgorzata Jachymiak tylko „słabą” kobietą...

„Słaba kobieta” ujęła energicznie rządy w swoje ręce i z miejsca zwolniła dwu sołtysów, którzy zaniedbywali swoje obowiązki.

Gmina jest zadowolona z rządów nowego wójta. Nie mniej jest zadowolona Małgorzata Jachymiak, pierwsza kobieta na odpowiedzialnym stanowisku samorządowym.

## Abisyński szef wywiadu

Była nią kobieta. Córka negusa, księżniczka Tsahai. Ma lat 19 i pomimo młodego wieku odgrywała ogromną rolę na dworze cesarza Haile Selassie.

Tsahai była właściwą kierowniczką i organizatorką abisyńskiego wywiadu. W kostjumie siostry Czerwonego Krzyża, docierała do najbardziej wysuniętych placówek, zdobywając cenne wiadomości dla swojej ojczyzny. Dozorowała osobiście transportem broni, organizowała wywiadowcze placówki i zasługi jej w wojnie włosko-abisyńskiej nie były mniejsze od zasług żołnierzy, którzy padali na polu walki.

Księżniczka Tsahai jest bardzo nowoczesną panną, ku wielkiemu żałowaniu swojej matki. Świetnie włada angielskim, francuskim, uznaje wyższość kultury europejskiej nad abisyńską i woli suknie europejskie, niż powłóczyste szaty abisyńskie.

Podczas wojny wygłaszała niejednokrotnie mowy przez radio, zwracała się z apelem do kobiet całego świata i udzielała wywiadów dziennikarzom zagranicznym.

Księżniczka Tsahai towarzyszyła swojemu ojcu do Londynu. Według krążących plotek, ma ona niebawem poślubić syna pośła abisyńskiego w Londynie, p. Martina.

Czy po ślubie jej ambicje ograniczą się tylko do przyswajania sobie kultury i cywilizacji europejskiej i zarzucenia strojów abisyńskich, niewiadomo.

Chociaż według pojęć abisyńskich księżniczka Tsahai wkracza już w niebezpieczny wiek „starej panny”, jednak ma dopiero 19 lat. To też kto wie jakimi niespodziankami może zadziwić cały świat.

## Niemki na wyższych uczelniach

Rząd niemiecki walczy z przerośnięciem inteligencji, która przyczynia się do zwiększenia bezrobocia. To też w dużym stopniu ograniczył liczbę młodzieży, która po zdaniu matury, miała się poświęcić wyższym studiom akademickim.

Pierwszemi ofiarami nowych rozporządzeń padły kobiety. Z 10.000 dziewcząt, studujących na uniwersytetach, pozostało zaledwie 720.

O 18%, mniej niż w ubiegłych latach.

Ograniczenie liczby kobiet na wyższych uczelniach jest zgodne z duchem rządu narodowo - socjalistycz-

nego, który pragnie zwęzić horyzont kobiet, zmuszając je do poświęcenia się obowiązkowi rodzinnemu.

Czy jednak trudności, z jakimi spotykają się obecnie dziewczęta niemieckie po skończeniu szkoły średniej, odstraszą je od wyższych studjów i zredukują ich zainteresowania do przedwojennych trzech „K” (Kinder, Küche, Kirche), niewiadomo.

Największym bodźcem jest i będzie zawsze chęć pokonywania trudności.

## Zmiana ustroju o przerywaniu ciąży w Sowietach

Projekt zmiany ustawy o przerywaniu ciąży poruszył szeregi kobiet sowieckich. Liczne są głosy, przemawiające za utrzymaniem dawnej ustawy. Jednakże stokroć liczniejsze są głosy kobiet, których tęsknota za dzieckiem jest niezmiernie silna.

Być matką to szczęście, jakiego episać niepodobna”, twierdzi p. Filipowa w „Prawdzie”.

„Projekt nowej ustawy przeczytaliśmy kolektywnie. Wszyscy uważamy że jest ona wspaniała”.

Oto głosy związków, stowarzyszeń, klubów, mogących dopiero teraz wypowiedzieć się swobodnie.

Artykuły w gazetach sowieckich noszą tytuły, za które jeszcze niedawno groziła surowa kara. „Szczęście macierzyńskie”, „Dziecko—najważniejszym warunkiem do szczęścia” oto nagłówki artykułów, nawołujących do powiększania urodzin, do przeciwdziałania masowemu przerywaniu ciąży.

W ankiecie, którą w związku z nową ustawą rozpisały pisma w ZSRR, biorą udział kobiety, należące do wszystkich warstw społecznych. Okazuje się, że wiele kobiet obawia się powiększania rodziny ze względów... mieszkaniowych.

„Jeżeli będę miała pięcioro dzieci, to czy dostanę większe mieszkanie?” Pyta jedna z robotnic.

Ciekawy jest fakt, że młodzież nie zabiera głosu w tak palącym zagadnieniu. Wstydzi się. Tak jest, wstydzi się, pomimo nieograniczonej swobody i dużych praw z jakich korzysta.

Niektóre odpowiedzi proponują szereg poprawek do istniejącej ustawy jak również dokładną rewizję prawa alimentarnego.

Nowy powiew przeniknął do ZSRR i będzie stanowił mocny fundament moralności u naszych wschodnich sąsiadów.

Argus



# HISTORIA HELKI

## III.

### PANICZ

Hela uczyła się od Janowej jak poznawać życzenia małowownej pani, jak sprzątać, jak się odzywać.

— Pani jest bardzo dobra, tylko nerwowa. Ona dawniej to taka ruchliwa, że ha! Różni goście u nas bywali! Ale od śmierci pana...

— Straciła męża?

— Jeszcze jakiego! Bogaty, dobry pan był! Niczego jej nie żałował, na rękach nosił. Tyle tylko, że sporo starszy i teraz musi młoda kobieta wdowieństwo obnosić. Panicz też grzeczny, nie można powiedzieć. Swoje wymagania ma, ale człowieka uszanuje.

Panicz...

Dopóki nie było go w domu, Hela zręcznie i składnie krzątała się przy robocie. Ale gdy poczuła jego obecność, mieszała się, nie wiedziała jak odpowiadać, nieznana siła wytrącała ją z równowagi. Któregoś dnia wpadł niespodziewanie, gdy sprzątała w jego pokoju. Zerwała się z klęczek do wyjścia.

— Niech Hela nie ucieka — powiedział miękko — Hela się mnie boi?

— Nie... nie... skądże... ja tylko...

— Chyba nie jestem straszny?

Uśmiechał się bardzo ładnie. Białymi zębami.

Dotknął dłonią jej ręki — zapieklą.

Hela nie mogła spuścić oczu z jego twarzy, nie śmiała drgnąć. Pierwszy raz, tak zbliżona, zobaczyła piękno młodości. Ulękła się tej potęgi — ale nie miała siły odejść. Stała jak zaczarowana, słuchała nowej melodji, melodji jego głosu.

— Hela tak wypiękniała, ho, ho! Odrazu zresztą wiedziałem, że to biedne szare stworzenie w obdartem paletku, to bardzo miła dziewczyna. Naprawdę. Ja nie jestem ani tak zwany uwodziciel, ani złoty młodzieniec. Jestem sobie artysta. I ten artysta, a nie pan, każe Heli zciągnąć białe czepczyśko z głowy, nie ukrywać złota!

Jednym ruchem zerwał jej chusteczkę, pukle rozsypały się na kark. Poczzerwieniała silnie. Miała uczucie, że stoi teraz przed nim obnażona... Skąd przychodziły do głowy takie szalone myśli?

— Niech się Hela odezwie, nie trzeba się wstydzic! No! Taka ładna, a boi się. Też! Do takich należy świat! Jesteśmy młodzi! Ile Hela ma lat?

— Osiemnaście...

— No, pierwsze słowo. Nareszcie. Straszny smarkacz! Pewno tu Heli za ciężko?

— Ależ, proszę pana...

— Niech Hela będzie śmielsza, proszę się mnie nie bać. Porozmawiamy jeszcze. Teraz muszę pędzić, wpadłem tylko po szkice... dowiedzenia!

Jeszcze długo po zatrzaśnięciu drzwi stała na miejscu z sukнем w dłoni. Nie mogła zrozumieć: dlaczego mówił do niej, jak do równej? Dlaczego nie wstydził się rozmawiać tak serdecznie, tak prosto z nią, z pokojówką? Czy życie miało teraz przynosić radosne niespodzianki?

Otrząsnęła się z miłych myśli, jak z rosy i wróciła do przerwanej pracy.

Janowa przynosiła do pokoju pani dobre nowiny:

— Ja znowu dziś wyjdę, Hela nie chce wychodzić, proszę pani. To nie żaden laufer.

— To porządna dziewczyna, tylko zabiedzona była.

— Trafiliśmy nareszcie, proszę pani...

Pani przyjmuje wiadomości swoim zwykłym, melancholijnym uśmiechem. Sama coraz częściej wyręcza się pokojówką:

— Hela zaniesie ten list i powie, że koniecznie czekam na odpowiedź.

— Helenko, zatelefonuj do pani Zarzyckiej, że nie mogę dziś przyjść na bridża...

— Ułożysz dziś sama kwiaty w wazonie, ale tak, żeby nie psuły harmonji kolorów...

Hela nosi listy pod tajemniczym adresem do tajemniczej staruszki. Hela umie załatwiać najtrudniejsze telefony, potrafi ślicznie układać róże w kryształach.

Pani, która przez dłuższy czas patrzyła na nią jak przez szkło, obojętnie, zaczyna dziewczynę obdarzać sympatją.

Mówi przy stole do syna:

— Elle est très capable... skąd to ma?

Syn się śmieje:

— Już ja mam oko!

Hela umie ładnie podać do stołu, cerować dobrze bieliznę, Hela dużo rzeczy umie, jest zdolna. Ale nie może jeszcze dać rady ze sprzątniem; wieczorem bolą wszystkie mięśnie nieprzyzwyczajone do wysiłku fizycznego. Chłodna, czysta pościel koi zmęczenie. Rano można znów z uśmiechem zabrać się do pracy.

Z Janową żyją w przyjaźni. Kucharka opowiada dalsze szczegóły o domu, którego życie tak bardzo szczerze Helę interesuje:

— Pan starszy to już dawno umarł. Jeszcze syn był w szkole. Ten portret w salonie, to pana. Bogata sztuka była! I niczego mężczyzna. Ale

pani, ta to piękna kiedyś, ho, ho! Mówią, że wielką karierę zrobiła. Różnie słysząc. Że naprzykład wcale szczęścia w życiu nie zaznała mimo bogactwa, przez jakieś wielkie zmartwienie. Widać jej to teraz wraca, bo coraz rzadziej z domu wychodzi, mniej gości przyjmuje, ciągle z własnymi listami i książkami siedzi. Albo jakieś fotografie przegląda, a jak wejde, to mówi: niech Janowa sama zadysponuje, ja nie mam głowy. Coś ją gryzie. Ano, życie dla każdego różne bywa.

— A panicz?

— Co panicz? Młody, niczego sobie.

— Kocha matkę?

— Dobrze ze sobą żyjom. Już tam ona mu nic nie poskapi.

Podług mnie to chłopak się psuje przez to malowanie...

Obrazy, a obrazy, cały pokój, widziałas, pozawieszany. To nie jest zajęcie na te czasy. No, ale starszy pan wyposażył ich oboje, co sobie mają żałować. Pani skapa nie jest. Dla nikogo. Heli kazała nowe palto kupić, a jakże, dała pieniądze. I na różne ochronki daje i na biedne dzieci. A już ostatnio to aż się miarka przebrała z temi paniusiami co przychodziły po pieniądze z różnych komitetów...

— A panicz?

— Co panicz? POCO ci te wiadomości? Panicz do głowy wszedł? Tak prędko? Wszystkie kozy jesteście! Każda jedna w nim się kochała...

— A on?

— No cóż, wybredny. Pański gust. Szczęścia niewiele z nim miały...

Hela z rozkosznym niepokojem oczekuje kiedy będzie „druga rozmowa” z paniczem. Ale widocznie o niej nie myśli, niema czasu. Hela nie czuje na sobie baczących spojrzeń, nie słyszy słów, na które czeka. Włosów już nie wiąże chusteczką, ma nową sukienkę, ładny fartuszek, dzisiaj patrzyła w lustro — była z siebie bardzo zadowolona — więc dlaczego?...

— Helu, podaj mi obiad do łóżka. Nie wstanę dzisiaj... deszcz na dworze, mam migrenę...

Hela krząta się cicho, w filcowych pantoflach po puszystym dywanie sypialni. Lubi usługiwać pani. Żeby jaknajciszej, jaknajłagodniej. Żeby nie urazić w niej tajemniczego bólu. Chciałaby porozmawiać, ale nie śmie. Czasem dostanie miłą pochwałę:

— Lubię cię, dziecko. Jesteś wyjątkowo delikatna. Dobrze ci u nas? Telefon dzwoni... przyjmij... co tam?



Hela wraca od aparatu zmieszana.

— Co się stało?

— Nic, to panicz tylko... że się spóźni na obiad...

Odwraca twarz, aby ukryć rumieńce.

Po obiedzie czyta pani nagłos jakieś smutne, piękne wiersze. Z wielką treścią i uwagą czyta zdanie po zdaniu, dużo z nich nie rozumiejąc.

Za roletami okien płacze deszcz. Wiosenny, ciepły deszcz.

Zły, wrogi świat odsunął się daleko, nie istnieje. Hela nie lubi nawet wychodzić na ulicę, coraz rzadziej także odwiedza koleżanki, chce jak najwięcej przebywać w nowym, cichym domu. Żyje tu czasami jak we śnie. Jak teraz, naprzykład, czy można wierzyć w prawdę takich chwil? Piękny pokój, piękna dama w bogatym łóżku, i ona, Hela, jakaś nowa, cicha, zasłuchana we własny głos... Pani kiedyś spytała:

— Umiesz czytać? Ja mam zmęczone oczy...

A gdy próbowała:

— Masz miły głos, dziecko. Tak żywo przypomina mi najpiękniejsze melodie mojej młodości...

Tak powiedziała pięknie. Właśnie tak. Hela chciałaby zato ucałować delikatne, białe dłonie — nie śmie. Chwyta w siebie gorliwe spojrzenia niebieskich oczu, chciałaby odgadnąć przyczynę ich smutku...

...I cygan zaczął wygrywać bajkę  
[miłości,  
a noc za oknem błyszczała sierpem  
[księżycyca...

Do sypialni wszedł cicho Stefan. Nie było słychać jak przekręcił klucz w zamku, nie było wiadomo kiedy wrócił. Hela zawstydzona się nowego słuchacza, przerwała w pół zdania.

Pani otworzyła oczy.

— A, to ty, Stef...

— Jak się masz, mamó. Ładnie sobie czytacie.

— Hela ma miły głos.

— Bardzo. Tylko dykcja szwankuje troszeczkę... Czy Hela właściwie chodziła do szkoły?

— Byłam tylko w trzech oddziałach...

— Proszę jeszcze poczytać...

— Pan głodny, podam obiad...

— Niech będzie i tak. Dużo dziś zrobiłem, mamó. Stary powiedział, że moje rzeczy pójdą na wiosenną wystawę. Cieszy cię to?

— Bardzo, Stefku.

— Smutna jesteś?

— Jak zawsze.

— No, nie.

— Pada deszcz?

— Wiosenny, gorący.

— Już gorący! Przesada!... Co to za tytoń? Poco palisz w moim pokoju!

— O, zapomniałem!

— Jesteś niedobry. Egoista. Wiesz, że mnie głowa boli. Każdy mężczyzna jest egoistą. Córka miałaby więcej delikatności...

— Ciągłe żałujesz, że nie jestem dziewczyną! Trzeba było gdy był czas zrobić sobie inny obstalunek! Miałabyś parkę!

Roześmiał się głośno i przeszedł do jadalni, gdzie Hela już czekała z obiadem.

Matka odwróciła do ściany oczy pełne łez. Powtórzyła cicho: miałaś parkę...

#### IV.

#### DWA GRZECHY.

Gdy Hela ma wolne godziny w niedzielę nie śpieszy się do wyjścia. Czyta książki, które jej pani pozwoliła brać z pięknej biblioteki. Ciekawe książki, jedna piękniejsza od drugiej, w nowe życie wprowadzają.

Hela siedzi pochylona, przy oknie w pokoiku, zaczytana, cała w rumieńcach z przejęcia. Janowa wystrojona w nową suknię i zalotny kapelusz „do wyjścia”, dziwi się:

— Że też ci się nie znudzi w książkach siedzieć! To dobre dla państwa! Lepiej byś wyszła na powietrze.

— Moja Janowo, dosyć ja powietrza użyłam, gdzie mam chodzić? Albo mi tu źle?

— No to siedź, ja wrócę późno. Kolację wydaj paniczowi.

Paniczowi...

Może i dlatego tak trudno wyjść z domu, że się od niego oddala? Może dlatego za niczem nie tęskni, że żyje tak blisko swego szczęścia? Więc to się nazywa miłość?... Niema odwagi, nawet przed sobą powiedzieć głośno: Kocham. I jeszcze stara się stłumić w sobie to gorące zarzewie, rozpalone nagle w piersi, jeszcze sobie tłumaczy: Helka, opamiętaj się, to nie dla ciebie, coś ty? Helka, póki czas...

Ale nie da rady. Czuje, że nie da rady. Jego głosem, spojrzeniem odmieniona, jasna, nowa. Bywa, że sama książka wysunie jej się z rąk w nagłym zamyśleniu, bywa, że na chwilę zapomni gdzie jest. Marzy. O własnym, nieziszczalnym szczęściu. Taję w bolesnej rozkoszy niedozwolonej miłości.

Czasem ma ochotę krzyknąć tak mocno, takim wielkim głosem, że zwałiby ściany małego pokoiku. Czasem, na dźwięk znajomego dzwonka biegnie naoslep, przez pokoje, aby otworzyć naoscież nie tylko drzwi, ale zda się i serce...

Gdyby to wiedział! Nie, nie może wiedzieć! Coby się wtedy stało z jej posadą...

Żyje jak oczarowana smutkiem pierwszej miłości.

Teraz też, odłożyła książkę, patrzy przez szybę na ulicę.

Ale nie widzi ulicy... Jakieś ogrody pełne kwiatów... słysząc muzykę...

Nagle drgnęła. Czyjeś kroki zadudniły na schodach, ktoś zastukał do drzwi kuchennych.

— Kto to?

— Otwórz, to ja.

— Co za ja!

— Otwórz. Krystyna.

— A ty skąd się tu wzięłaś?

— Trafiłam do ciebie. Widzisz.

Hela zdziwiona i jakby zbudzona ze snu wita koleżankę.

Jakże ona źle wygląda! Twarz bez kropli krwi, włosy potargane, oczy podbite. Tłumaczy się nieśmiało.

— Nie gniewaj się. Tak dawno u nas nie byłaś. Chciałam pogadać. Jak tu u ciebie? A może jesteś na mnie zła, to pójde.

— Ale...

Dopiero teraz Hela przypomniała sobie dawną swoją serdeczność.

— Ale, skąd! Siadaj... patrz, to nasza kuchnia, a to mój pokój... ładnie? Prawda?

Krystyna zamglonem spojrzeniem obrzuca kąty. Uśmiecha się blado. Z westchnieniem siada na taborecie, przy łóżku.

Łóżko jest białe zasłane, na oknie kwitnące doniczki.

— Wolno ci przyjmować gości?

— O, u mnie nikt nie bywa... Ale co tobie, Krysiu? Jeszcze się nie wylizałaś?

— Eh! Ze mnie już nic nie będzie!

— Pracujesz u Rutkowskiej?

— Poszłam nawet na starszą. U nas smutek, bo mały Rutkowski umierający na te płuca. Ona chodzi jak cień.

— Mój Boże!

— Tobie tu dobrze, Hela. Nie myśl, że przyszłam ci zazdrościć. Tylko taka byłaś dla mnie ludzka w szpitalu i wogóle. Z tobą można inaczej pogadać... Więc przyszłam. Wiesz, dziewczyny nie mogą zrozumieć, że rozpaczam za małym... One mówią, że to dobry przypadek... Wiesz? A mnie póki robota — to nic, ale jak przyjdzie święto, to aż w trzewiach dusi z męki. Już by miało prawie pięć miesięcy...

— Żebyś mogła zapomnieć...

W oczach Krystyny błyszcza łzy, spadają ciężkimi kroplami na wytarty szewiot sukienki. Ociera je czerwoną dłonią.

Hela rozumie, że koleżanka przysłała się tu wypłakać. A niechże jej ulży!

— Znajdziesz, Krystyna, nową miłość... — próbuje pocieszać.

— Ale! Niema miłości! Mówię ci, Hela, uważaj, bo wszystkie mężczyzny, to psy! Czy taki się zapytał? Wierzyłam mu przecież! We wszystko



wierzyłam, brałam się za bary z losem bo życie ta miłość osładzała... Poszedł! Ani się obejrzał... Niech go! Gdybym miała dziecko, gdyby nie ten wściekły los...

— Cicho, Krystyna, cicho... nie krzycz... jeszcze pani usłyszysz... płacz sobie cicho, to ulży... moja ty...

Hela łagodnym ruchem przygarnia do siebie szlochającą dziewczynę. Po raz setny przeżywa z nią razem jej tragedję.

Krystyna uspakaja się bardzo prędko.

— Głupia jestem, włącz tu i psuję ci niedzielę. Opowiedz coś o sobie... Dobrze ci?

— Bardzo, bardzo...

— Podobnież jest tu panicz?

— Jest.

Hela czerwienieje na twarzy, spuszcza głowę.

— Hela, na litość Boską, czy?...

— Nie, nic... nic...

— Nic? No, bo uważasz, każdy jednakowy! A jeszcze taki panicz! Ja ci się nie dam zmarnować! Pamiętaj! A przecież jak zrobicie jaki kawał, to cię ze służby wyleją! Hela, powiedz prawdę...

— Nie mam ci nic do mówienia... tylko, że go kocham...

— Olaboga!

— Cicho... nie krzycz... Czego ode mnie chcesz? Piękny jest, młody, delikatny...

— Nie wierz mu! Żeby nie wiem co obiecywał!

— Ależ on mnie nic...

— Ładna jesteś teraz jak malowanie, odżywiona, młodzianka, to pewnie, że mu się uśmiecha!...

Hela nie może słuchać przykrych urągania koleżanki. Czy ona to może zrozumieć? Bierze po swojemu... Szkoda, że się zwierzyła... jeszcze rozgada...

— Słuchaj, przestań mówić tak! Wiesz, że cię lubię, ale jeżeli nie przestaniesz zaraz... I nikomu, ani słowa, słyszysz? Obiecasz, Krystyna? Dobrze?...

Oczy Helki płoną, usta różowe i dziecinne zaklinają:

— Na miłość Boską, nikomu! Pamiętaj!

Krystyna ostygła. Patrzy pobłaźliwie na uniesienie koleżanki. Boże drogi, jak dobrze rozumie ten ogień, tę gorączkę tajemnicy... Szkoda dziewczyny!

Obydwie ucichły. Z ulicy słychać kroki przechodniów. Z pokoju przypłynęła fala muzyki. Hela powiedziała z nabożeństwem:

— Pani gra...

Jakże lubiła tę muzykę! Mogła godzinami słuchać, mogła wieczność słuchać... Unosiła ją na skrzydłach najniękniejszych marzeń...

(D. n.).

Jadwiga Korczakowska

Rada Narodowa Polek komunikuje, że na walnym zebraniu delegatów przy udziale 23-ch organizacyj, na którym uchwalono zmiany statutu, dokonano również wyboru władz Rady.

Na przewodniczącą wybraną została senatorka, dr. Regina Fleszarowa, a do zarządu: pp. Zofja Moraczewska, Wanda Norwidowa, Wanda Piekarska, Zofja Rudolfowa, Anna Szelałowska, Eugenja Brzezińska, Wanda Ładzina, Stefania Krasowska i Marja Uszycka.

*Prace przygotowawcze do wielkiego kongresu kobiet.*

W kwietniu przyszłego roku odbyć się ma wielki kongres polityczno-obywatelski pracy kobiet, którego celem będzie zobrazowanie całokształtu

działalności kobiet w Polsce Odrodzonej oraz ustalenie wspólnych wytycznych ideowych i metodycznych dla prac politycznych, społecznych, gospodarczych i oświatowo-kulturalnych. Komitet organizacyjny pod przewodnictwem p. Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej rozpoczął prace przygotowawcze do kongresu przy udziale przedstawicielek licznych organizacyj kobiecych.

W związku z tem podkomisja prasowa komitetu organizacyjnego zwraca się do organizacji i osób, zainteresowanych tem zagadnieniem, o nadsyłanie materiałów, dotyczących udziału kobiet w prasie polskiej, jak pisma kobiece, wydawnictwa, redagowane przez kobiety i t. p. pod adresem M. S. Wojsk., Zarząd Naczelny Stow. „Rodzina Wojskowa” (Wydział prasowy).

## Odpowiedź na art. dysk. z dn. 13.V. b. r. Nr. 20 „Tyg. Kobiety” p. t. „Nasze Matki”

Po zastanowieniu się nad artykułem p. Marji Woynag prosimy Sz. Panią Redaktorę o głos w dyskusji dotyczącej Naszych Matek i ich wyglądu, do którego tak wielką wagę przywiązuje autorka artykułu.

Przedewszystkiem więc zwracamy uwagę, że autorka mylnie kojarzy wygląd — zewnętrzne warunki Matki z Jej zaletami i wartościami duchowymi.

Przecież chyba prawdziwą „Matką-Polką” nie będziemy nazywali tej tylko, która zewnętrznie, w przekonaniu autorki, temu mianu odpowiada. (t. zn. nosi „skromnie zaczesane włosy z aureolą dostojności nad głową”, „ciemne suknie”, których powiechność jest wykluczona i t. p.) lecz tę, którą cechują zalety wewnętrzne i wartość duchowa.

Pozwolimy sobie też skromnie zauważyć, że zdanie iż „mimo siwiejących włosów i zmarszczek dusze Matek zostają tak samo jasne i dobre” jest conajmniej naiwne. Czyż więc, w rozumowaniu autorki, przyciemnienie lub rozjaśnienie zawczasie siwiejących włosów Matki może mieć jakikolwiek wpływ na Jej duszę?... (jakaż więc wielką rolę odegrałaby henna i woda utleniona w dziejach ludzkości!!!).

Doskonale rozumiemy, że przesada w malowaniu się, odmładnianiu i excentrycznym ubiorze naszych Matek byłaby nieestetyczna i rażąca. O tem nie mówimy. Natomiast odwiedzanie Inst. Piękności w celu subtelnego podniesienia swej urody, skromnie zaondułowana głowa i modna, odpowied-

nia do wieku suknia — mówi nam tylko o wyrobionym smaku estetycznym i młodem usposobieniu naszej Matki.

Autorka „tęskni do słodkiej, starszej pani w czerni”, a zapomina, że minęły te czasy, kiedy matrony snuły się po komnatach. Dziś nasze Matki muszą przeważnie ciężko pracować, do czego potrzebna jest im wielka energja, i obok młodości duchowej, zachowanie świeżego i młodego wyglądu.

Chciałybyśmy widzieć Matki nasze młode i promienne, chciałybyśmy mieć w Nich wychowawczynię i serdeczną, mądrą przyjaciółkę, lecz jednocześnie zaznaczamy, że kochamy Je takimi, jakimi są i nie potrafimy potęgować naszego uczucia zależnie od Ich siwych lub przyciemnionych włosów.

A czy Matki mają „prawo” odmładzać się, czy nie, będzie mogła autorka zrozumieć i orzec, gdy dojdzie do Ich wieku.

Na zakończenie prosimy wszystkie Czytelniczki o wybaczenie nam formy i stylu tego artykułu, który daleko odbiega od literackiego ujęcia — może dzieje się to skutkiem tego, że jesteśmy za młode, aby zabierać głos w dyskusji, ale myślimy, że nawet te najmłodsze z nas powinny wypowiedzieć się w kwestji dotyczącej naszych Matek.

Dlatego apelujemy do wszystkich, aby pisały co myślą na poruszony przez p. Woynag temat i czy zgadzają się z nią, czy z nami.

Janina Szaniawska i  
Marja Byszewska.



# SZLAKIEM POŁUDNIA

## III

### HISZPANJA.

Deklamując piękny wiersz Norwi-da weszłam na ziemię hiszpańską.

Teraz mieszkam w Skolimowie w zwykłym białym domku z czerwonym dachem. Za sadem widać pola — i w dali las. I tutaj właśnie wyczarować chcę tę Hiszpanję, do której tamtego dnia zawitałam — Hiszpanję urwistą i posępną o pożółkłych gościńcach — zmysłową i dziwnie muzyczną.

Na ostatnim schodku trapu padła mi w objęcia przyjaciółka, którą poznałam niegdyś w Skolimowie, a która obecnie mieszka w Barcelonie. Czekala na mnie w porcie witając wiązaną blado-różowych róż i najradośniejszą z przyjaznych twarzy. Dlatego też odłączyłam się od ogólnej wycieczki autokarów (należy napisać groźny potępiający artykuł na temat zwiedzania świata autokarami, pełnemi przemęczonych i otepiałych ludzi, wysłuchujących najdziwniejszych w świecie opowiadań przewodników z Francopolu, Compagnie Transatlantique i innych Orbisów...).

Zwiedzając z przyjaciółką Barcelonę przedewszystkiem poszliśmy do katedry — dowiadując się po drodze, że właśnie jutro będą wybory nowego prezydenta, że wczoraj rzucono trzy bomby, a komuniści ciągle palą kościoły. W katedrze panował uroczysty półmrok. Przy ołtarzach bocznych paliły się świece. Mroczne witraże prawie nie rozwidniały wnętrza. Nastrój skupienia wyniesiony z katedry rozwiął się przy zwiedzaniu Municipale. Jest to siedziba Rady Miejskiej — a wygląda jak Muzeum. Cudowne patia z mozaiki — sale obwieszone gobelinami z 17-go wieku i dziwna dla Europejczyka architektura maurytańska.

Szliśmy ulicami miasta radośnie podniecone oglądając wszystko dookoła — dziwiąc się zwłaszcza ulicom tak szerokim, że Champs Elisée w Paryżu przy nich wydawałyby się wąskie.

A potem krótki wypoczynek w kawiarni na wielkim placu. Kawa, rozrzucające wspomnienia i powrót do rzeczywistości w osobie fryzjera, u którego przyjaciółka zostawiła mnie samą wśród hiszpańskich dam. Jak u nas, jak na całym świecie siedziały szeregiem przed lustrami w białych ręcznikach naokoło szyji. Fryzjer miał mi umyć i uczesać głowę.

To bardzo ciekawe być tak nagle przeniesioną w akcie mycia i ondulowania głowy, od pana Jana z Moniuszki do don Jose'go na Piazza del Sole!

Hiszpańskie damy siedzące z prawej i lewej strony fotela przyglądały mi się życzliwie, coś do mnie mówiły mimo energicznych gestów z mojej strony, że nic a nic nie rozumiem. Obie były młode i bardzo ładne, szczególnie ta z lewej strony, miała szalenie miłe doteczki na policzkach i bardzo figlarne oczy.

Modne jest w Barcelonie i w całej Hiszpanji, po uczesaniu i ufrызowaniu loków oblać całą głowę oliwą, czy też innym tłustym smarem. Kiedy don Jose schwycił butelkę, aby uczynić to i z moją głową, a ja groźnie zaprote-stowałam, moja sąsiadka z lewej strony rozkosznie zaszczębiotała, mrugnęła porozumiewawczo i wcisnęła mi w rękę srebrną monetę 10 pesetów. Przerazona wzbraniałam się przyjąć nieoczekiwaną zapomogę, pokazując, że w torebce mam hiszpańskie pieniądze, tłumaczyłam jej po polsku, że wcale nie przez oszczędność odmawiam swojej głowie oliwy — tylko, że nasi polscy gentlemeni są szalenie wymagający i egoistyczni, więc nigdy w życiu nie tolerowałiby takich tłustych głów u „swoich kobiet”, a zatem mają przesubtelnione powonienie i żaden nietylko nie chciałby damy takiej pocałować, ale nawet nie zjadłby obiadu w towarzystwie pani oblanej starą oliwą. Nie wiem, a nawet wątpię, czy moje tłumaczenie zostało zrozumiane — zauważyłam tylko wielkie współczucie w oczach don Jose'go i obu sąsiadek — to moje suche włosy wydały im się tak żałosne.

Obiad, na który byłam zaproszona do przyjaciółki, udał się znakomicie. Na deser były wielkie poziomki — prawie takie duże jak nasze truskawki — a po obiedzie pojechaliśmy autem zwiedzić okolice i poznać pejzaż hiszpański. Jechaliśmy dosyć prędko, ale mimo to mogłam się napatrzeć dosyła i górom i lasom i żółtawym gościńcom, na których uparcie szukałam śladów Rossynanta. Spotykaliśmy fury z płóciennem półkolistym pokryciem i osiołki dźwigające kosze po obu stronach grzbietu. Poznawałam od razu krewnych Sanszo Panszy z obrazków Doré'go — a kiedy zdaleka zobaczyłam wiatrak i talerze cyrulika w małym miasteczku na rynku — popadłam w stan egzaltacji — która przekroczyła śmieszność. Na każdym wirażu oczekiwałam, że go zobaczę — choć przelotnie — długiego, ze spisną w rękę — nieruchomego pod zamkniętą przyłbicą — chociaż cień jego — na chwilę, na chwilę...

Za górą Tubidabo zepsuł się motor

i pękła opona. Chcąc skrócić oczekiwanie oddaliłam się od towarzystwa wchodząc wgłęb lasu. Aż tu nagle (w mojem życiu często zdarzają się cuda) stanął przedemną wyniosły, chudy i zamiatając piórem z szyszaka, liście u stóp moich, powiedział: „Dulcynejo, dzień dzisiejszy pozostanie niezapomniany — znowu Cię widzę”. — A ja dygając nisko podałam mu blado-różowe róże (które miałam w rękę) i szepnęłam: „O największy z rycerzy błędnych, z dziejów którego czytać się uczyłam — przebóg znowu się mylisz — nie jestem Dulcyneją — przyjechałam dziś rano poraz pierwszy w życiu do Hiszpanji, a od chwili nabycia biletu okrętowego o Tobie tylko — o spotkaniu z Tobą marzyłam”. Słońce zachodziło czerwono; cyprysy i pinje z obrazów (z książek Biblioteki Dzieł Wyborowych) stały się na tle ciemnego lasu zupełnie czarne — nawet plama atramentowa, która szpeciła obrazek tomu III-go rozlała się tu, gdzie trawa po obu stronach drogi służyła Rossynantowi za posiłek. Don Kichot położył mi szpadę na ramieniu — oboje wiedzieliśmy wszystko o sobie i wiedzieliśmy, że za chwilę trzeba będzie się rozstać. Stałam przed nim drżąca, wzruszona i bełkotałam z trudem i pośpiechem. Chciałam mu powiedzieć odrazu wszystko — przez tych chwil parę poskarżyć się i płacząc powtarzałam nieudolnie: „O Rycerzu — Wielki Rycerzu — byłam w zeszłym tygodniu w Trjeście — 5 miesięcy temu byłam w Niemczech — rodzice moi mieszkają w Paryżu — ja mieszkam w Polsce — rycerzu o mój rycerzu — zwyciężyły trzody baranów — zwyciężył wojujący cynizm, zwyciężyła brutalna pięść — wiatraki się kręcą! Uciekaj, uciekaj wgłęb gajów oliwnych — kryj się nawet przed blaskiem księżyca — skończone, skończone”. Płacząc obejmowałam kościste nogi, okryte stalową zbroją. W tej chwili ostry dźwięk klaksofonu rozdarł powietrze — towarzystwo umieszcilo się w gotowej do drogi maszynie i nawoływało mnie. Stałam się znowu turystką, śpieszącą, ogłupiałą obłędem zwiedzania. Znowu miałam ostrzyżone włosy i płaszcz nieprzemakalny na przykrótkiej sukience. Ostatnie spojrzenie, ostatnie, długie, tragiczne spojrzenie i z ekspansją kobiety XX wieku rzuciłam mu się na szyję. Don Kiszot dostojnie mnie odsunął, blademi cienkimi wargami pod wspaniałym wąsem, którego końce były ku górze zakręcone, lekko po-



całował mnie w czoło: „Bądź zdrowa, rzeczywistość Cię łudzi — nie wierz rzeczywistości — powrócę i zwyciężę”. — Już nie rozróżniałam cyprysów od pinii... kleks atramentu zjadł stronicę.

Przyjaciółka wesoło machała rękawiczką:

„Czekamy na Ciebie, prędko, prędko musisz jeszcze dużo zobaczyć”.

Od czasu do czasu, wysiadając z auta, oglądałam widok ogólny Barcelony ze szczytu góry, jakąś karuzelę bez sensu służącą w niedzielę

wieśniakom do zabawy, kawiarnie z białymi fotelami, fotografowałam się z gwardzistami w mundurach i wieśniakami strojnymi w czerwone wstążki. Fotografje takie pokazywane potem rodzinie sprawiają, że nudne podwieczorki się ożywiają i „rodzina”, jedząc z apetytem ciastka, wygłasza tak dobrze nam znane zdania: „Jednakże podróże kształcą i uszła chętniają człowieka”!

Wieczór spędziliśmy z dziennikarzami w winiarni, gdzie raczono nas smażonemi sardynkami, białem i czerwonym winem. Wino było kwaśno-

cierpkie, sardynki bardzo niesmaczne — a towarzystwo takie same!

O godzinie 1-szej w nocy żegnani serdecznymi okrzykami „Eviva Pologna” i chusteczkami powiewającymi w powietrzu, wołając z pokładu „Eviva Espagna”, „Eviva Katalonja” — odpływamy w ciemną noc... „Batory” niesiony falami Oceanu Atlantyckiego zmierza do Afryki... Zdaleka widać migotliwe światła portu, dalek miasta, a gdzieś daleko bez światła w plamie atramentu i nocy, po ciemnych teraz gościach, majaczy cień Błędnego Rycerza.

Iza-Bell

## WRÓŻKA

Niemal na końcu miasta, w odległej dzielnicy, stoi mała oficyna w miniaturowym podwórku, okolonem wysokim parkanem.

Na podwórku bawią się zamorusane dzieciaki, z otwartych okien parterowej przybudówki ulatują smakowite zapachy obiadu i trudno się domyślić, że to właśnie tutaj.

Skrzypiące, drewniane schody wiodą na stryszek, pojedyncze drzwi nie mają nawet dzwonka, puka się prosto ręką.

— Proszę wejść! A do kogo? W jakiej sprawie?

— Czy tu mieszka pani W.?

— Tak, tutaj.

Mansarda jest taka maleńka i niska, że trudno się do niej wślizgnąć. Przy okrągłym stole, nakrytym haftowaną serwetą, siedzi kobieta w średnim wieku. Przed nią na stole leżą karty.

Kobieta spogląda na mnie wyczekująco. Jej drobne dłonie pobrzękują masą bransoletek, jej duże, zmęczone oczy patrzą na mnie badawczo.

— Pani w sprawie wróżby? Proszę niech pani spocznie. Z kart, z ręki, czy we śnie katalptycznym?

Matowy, cichy głos dociera wolno do moich uszu.

— Czy ma pani może jakieś zasadnicze pytania?

— Tak, mam pytania... Nie przyszłam do pani po wróżbę.

Oczy kobiety nabierają ostrego wyrazu.

— Poco pani przyszła?

— Chcę z panią porozmawiać. Jestem literatką. Ciekawi mnie pani zajęcie, pragnęłabym o niem napisać. Przypuszczam, że czytała pani niejedną notkę na ten temat w czasopiśmie i dziennikach. Dużo o tem pisano ostatnio. Kąt widzenia był bardzo krytyczny — poruszano sprawę nadużyć i nieuczciwości przede wszystkim, ganiono zainteresowanie publiczności, zwłaszcza kobiet. — Mnie ciekawi odmienne podejście. Słysza-

łam o pani zdolnościach w dziedzinie telepatji, sugestji i hipnozy. Pragnęłabym pomówić z panią szczerze, zadać kilka pytań, czy zechce pani na nie odpowiedzieć?

Oczy wróżki patrzą na mnie wyrażnie, na jej szczupłutkich dłoniach brzęczą bransoletki.

— Postaram się, o ile tylko będę mogła...

— Interesuje mnie przede wszystkim charakterystyka pani klienteli.

— Są to przeważnie kobiety z inteligencji.

— Na jakiego rodzaju zagadki szukają rozwiązania u pani?

— W 90% szukają rady w sprawach uczuciowych, niekiedy materialnych, rzadziej rodzinnych i zawodowych. Są to przeważnie kobiety nieszczęśliwe, zawiedzione, niepewne przyszłości.

— Czy zdarza się, że przychodzą do pani kilkakrotnie?

— Bardzo często się zdarza. Na pierwszej wizycie nieufnie i powściągliwie oczekują jedynie wróżby, na następnych wizytach wynużają swoje troski, prosząc o pomoc, o wskazówki jak dalej postępować.

Niech mi pani wierzy, że nasz zawód nie jest łatwy. Bez względu na nasze zdolności.

Jesteśmy tylko ludźmi. Nasze możliwości jasnowidzenia są ograniczone i zależne od wielu czynników zewnętrznych. Nasze klientki szukają w nas istot nadprzyrodzonych. Przychodzą do nas ukradkiem, wstydząc się otoczenia i samych siebie, ale kiedy już przyszły są szczerze. Smutna to jest najczęściej szczerść, proszę pani.

Ktoś puka — jakaś klientka. Usuwam się dyskretnie w cień parawanu zasłaniającego łóżko.

Do izby wchodzi młoda osoba, o miłej, inteligentnej twarzy. Wita się z wróżką — widocznie stara znajoma — i wyciąga pośpiesznie z woreczka jakąś fotografję.

— Przyniosłam pani jego fotografję — mówi cicho — narazie nic się nie zmieniło.

Głos wróżki dźwięczy metalicznym brzmieniem —

— Trzeba mieć cierpliwość, proszę pani. Badałam długo pani horoskop, niech mi pani wierzy, że on wróci, wróci napewno.

— A jeśli się pani myli? Niech mi pani powie całą prawdę, moja złota! Wolę najgorszą prawdę od tej ciągłej niepewności.

— Nic innego powiedzieć pani nie mogę. Widzę, że wróci.

Młoda osoba kładzie na stole pięcioletówkę i szybko się żegna.

— Zajrzę do pani w końcu przyszłego tygodnia.

Wyłaniam się z za parawanu.

— To zapewne stała klientka — pytam ciekawie.

— Tak, od trzech miesięcy przychodzi do mnie. Z początku była bliska samobójstwa, teraz jest znacznie lepiej. Zdradził ją narzeczony, którego bardzo kocha.

— I pani wierzy naprawdę, że on wróci?

— Czy wierzę?... Wierzę przede wszystkim, że jej ta pewność jest narazie potrzebna do życia. Czas goi najgorsze rany ale trzeba móc go jakoś przeczekać. Ta pani za swoje pięć złotych kupiła otuchy na przeciąg tygodnia, a takich jak ona jest więcej.

— Dziękuję pani za ciekawą pogawędkę, może jeszcze kiedy zajrzę tutaj, a narazie panią pożegnám.

— Niech pani przyjdzie, powrózę pani. Jak pani będzie kiedy ciężko i źle, niech pani przyjdzie.

Schodzę wolno po drewnianych, skrzypiących schodach. Na podwórzu bawią się dzieci jak przedtem.

Biedne serce kobiety karmiące się otuchą za cenę pięciu złotych. Dużo jest takich serc kobiecych na świecie, może to i dobrze, że jeszcze istnieje wróżki.

J. R.





Woda, jak magnes, przyciąga ku sobie wzrok. Ślizga się on po jej ruchomej powierzchni, daleko, aż po sam horyzont. Pochłania zmienność barw, zależną nie tylko od pory dnia, ale często od przelotnej chmurki albo porwy wiatru. Chwyta olśniewającą biel piany, rozbitej na grzbiecie rozszalałej fali. Albo tą drobną i nikłą, co to przybiegła z cichym chrzęstem rozbić się o piaszczysty brzeg.

Wtedy ucho przyswaja sobie ten dźwięk. Z niego rodzi się harmonijny akord złożony z tęsknoty, oczekiwania i nadziei.

Coś tam majaczy przecież daleko na horyzoncie, kiedy się stoi tak na brzegu, patrząc przed

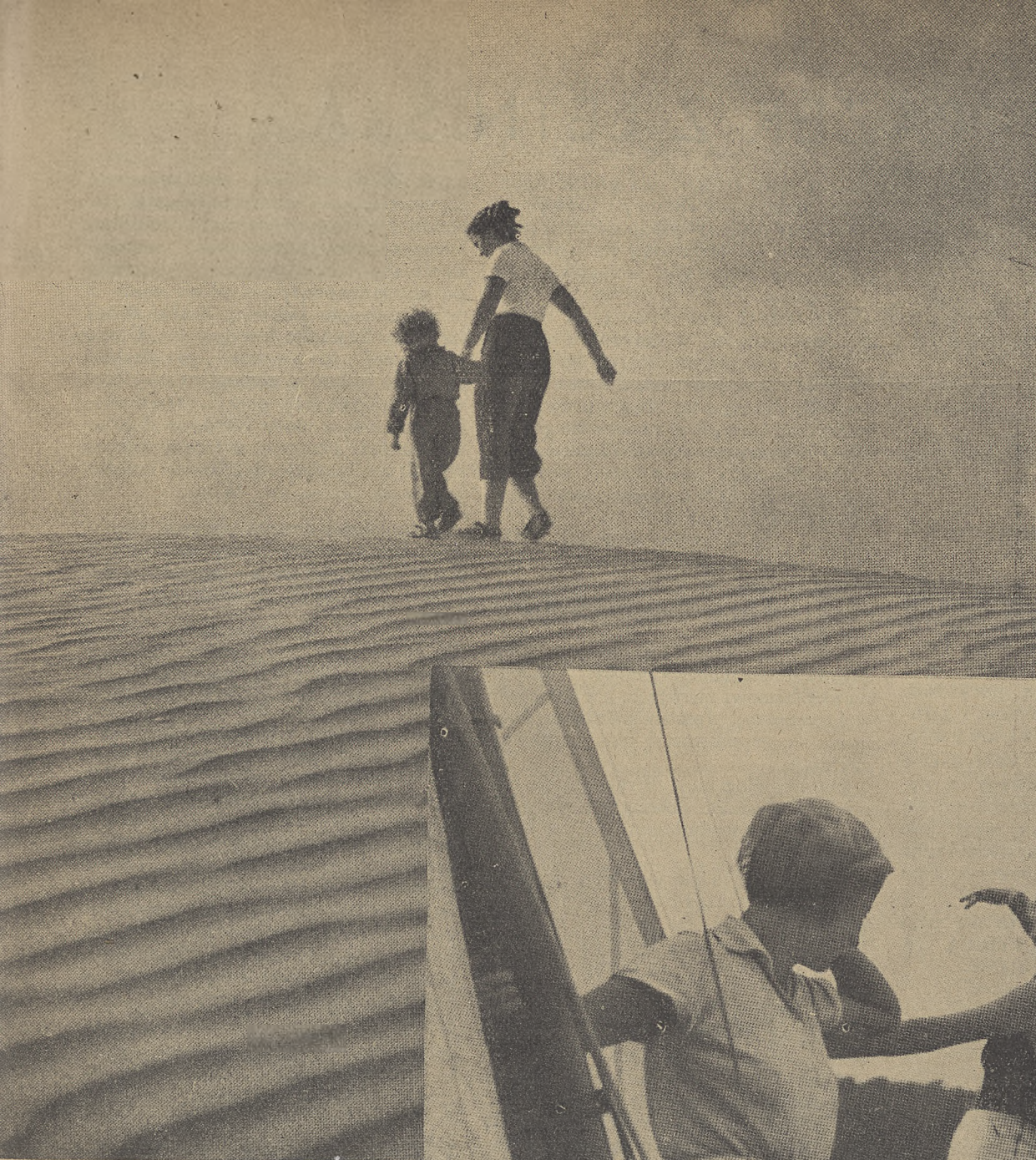


#### NASTRÓJ

*Księżyc znudzony swoim solo  
utopił się w czarnej wodzie  
tuż pod drewnianym mołem.  
Można teraz po srebrzystej łusce chodzić,  
przykryć się tęsknoty szalem  
i przez chwilę być melodją, którą właśnie grać  
[przestali...]*

Jadwiga Korczakowska





siebie. Może to coś swoje i dobrze znane... A może właśnie coś, na co się bezpodstawnie dotychczas czekało?

Woda, jak magnes, przykuwa wzrok. Idzie się ku niej mozolnie, przez długą piaszczystą plażę, którą przyływ i wiatr ułożyły w prześliczne karby. Idzie się z trudem, uważnie, ale wytrwale.

Ukaże się za chwilę.

Może będzie na niej łódź z rozpiętym żaglem, łódź pełna śmiechu, młodości i radości życia?... A może będzie tylko niebo i ona, rozbijająca się rytmicznie o brzeg. Zmienna, ogromna i w cudzie swoim niezniszczalna.

*M. D.*





# OBRAZEK Z LETNISKA

Pokój z werandą na piętrze kosztuje trzydzieści złotych z przyniesieniem wody i zamiataniem. Do tego jeszcze dochodzi możliwość gotowania obiadu przy ogniu gospodarzy. Gazdowie życzliwi i usłużni, jak wogóle lud tutejszy.

Rozłożyłam już swój leżak na werandzie.

Prześlicznie tu. Powietrze balsamiczne. Przed willą trawnik, dalej droga, po której rzadko kto jeździ, przeważnie właściciele powozików na stację po gości lub z gośćmi, albo wozy naładowane sianem.

Samochód — to utrapienie miejskie, przemknie się raz na tydzień.

A za tą drogą? Park najpiękniejszy bo pierwotny: polana mieniąca się wszelkimi odcieniami zieloności. grupy olszyn i rozłukany, szalejący strumyk górski. Z drugiej strony willi wzgórze łagodnie falują porysowane poletkami owsa, jęczmienia i „grulami”. Żyto i pszenica tu się nie udają.

Leżąc na werandzie, zaczynam z dnia na dzień zwracać uwagę na życie sąsiadów, żyć ich wrażeniami. Na dole dwa pokoje z kuchnią zajął „pan dochtór ze Lwowa”. Ma dwie ładne córki i syna szesnastoletniego. — Tam żyją sportem.

Równolegle z nimi mieszka pani Estera z córeczką Polcią i nianią. Codziennie dobiega mnie wołanie:

— Kobieto, a co tam macie?

— Poziomki.

— Dobrze, chodźcie.

I znów:

— Kobieto, a co tam macie?

— A jajka i grzyby.

— To chodźcie.

Myślę, że nie przejdzie żadna baba z produktami, któraby coś nie utargowała. Gdzie się to wszystko podziewa? — Właśnie drogą toczy się mała kulka na krótkich, bombiastych nóżkach — to Polcia.

Na górze mam pana mecenasa, a za nim jakąś pannę ze Śląska, która mówiła do gaździny: „Pracuję w interesie”.

Pan mecenas nie udziela się nikomu. Najczęściej, zanurzywszy rękę w czuprynie, pisze lub czyta. Często, gdy pewna pogoda znika na cały dzień.

Jest jeszcze inne towarzystwo: soczystą trawę na polanie skubią trzy krówki i dwa barany. Jedna niesforna „Gwiazdula” wyraźnie objawia niezależny charakter i lubi chodzić własnymi drogami, za co często od pastucha dostaje kamykiem w bok.

W tem miłym otoczeniu upłynął mi już pierwszy tydzień. Pogoda przeważnie ładna. W górach trzeba się o-

swoić z tem, że lubi ona płatać figle. Jasne niebo i już chmury i ulewa!

Podczas długotrwałego deszczu mecenas robi się łaskawszy na usiłowania „panny z interesu” wciągnięcia go w rozmowę.

On: Jednak w Polsce jest mniej bezrobotnych, niż w innych krajach.

Ona: U nas, na Śląsku jest ich pewno 3-cia część ludności, a może połowa. To dlatego, że rząd wprowadził maszyny i tam, gdzie pracowało przed tem 120 ludzi, teraz jest 10-ciu.

On: Maszyny są na całym świecie. Jak mogłaby Polska konkurować przy rękodzielnictwie...

Ona: Ja w to nie wchodzę. Ale rząd jednak winien. Nie powinno być bezrobotnych.

On: Jedyna rada na to: ograniczyć urodzenia:

Ona: O wiem co myśleć o tem „świadomem macierzyństwie"! Ja panu mecenasowi zwrócę te „Wiadomości Literackie”. Jestem sodalistką i uziem się orjenować w tem, co można czytać.

On (śmiejąc się): Wracając do restrykcji urodzeń, powtarzam, że gdyby nie było przeludnienia, ludzie byłiby szczęśliwi.

Ona: Ja w to nie wchodzę. Wątpię, czy byłiby szczęśliwi. Mojego brata porzuciła żona, bo gruźlik, choć ją bardzo kochał. Żeby były dzieci, toby domu pilnowała i on byłby szczęśliwy.

On: Ale na tem straciłyby dzieci gruźliczne, powiększając w przyszłości szereg bezrobotnych.

Ona: Ja w to nie wchodzę, ale on jest teraz nieszczęśliwy.

Mecenas zamilkł, wstał, schował się do pokoju i w dyskusję ze swą sąsiadką już się więcej nie wdawał.

Dnie upływają. Mało teraz urozmaicenia. Cały dół od trzech dni na wycieczce pomimo deszczu. Wszyscy mężczyźni wyjechali, bo nawet nasz gazda, po pas utopiony w furze siana, wyruszył daleko do hal, gdzie się pasą jego trzy krowy. Jedna okulała, nie może chodzić na pastwisko, trzeba jej było paszę zawieźć.

Właśnie, gdy z nadejściem nocy, rozmarzona cichym wieczorem, pograżyłam się we śnie, wyrwało mnie nagle z dalekich światów sennych gwałtowne walenie do moich drzwi i wołanie: „Czy do pani złodziej się nie zakradł?” Jezus Marja! Serce przestało mi bić. Rozwarłam szeroko oczy biegają po pokoju, usiłując przebić piekielne ciemności. Nie, chyba niema! Zrywam się, otwieram drzwi.

Okazuje się, że wdrapał się po słupie werandy mojej sąsiadki, zbudził ją szmer i światło latarki elektrycznej

przez drzwi szklane, na szczęście zamknięte, jej pokoju. Słyszała jak potem przeskoczył na moją werandę. Teraz zaczęło się bieganie i poszukiwanie zapalek. Ani śladu, pod ziemię się chyba zapadły — plusk wody z przewróconego bukietu, brzęk zbitej szklanki. Sąsiadka krzyczy — „Gdzie rewolwer?” (to — żeby go zastraszyć), ja wołam w niebogłosość — „Złodzieje, złodzieje!”. pani Estera dostaje spazmów, a mały Jacek na dole akompanjuje płaczem; w trzęsących się rękach nadbiegłej gaździny lampka wyczynia taniec św. Wita...

Potem mnie śmiech porywał ile razy sobie tę scenę przypominałam, a i ten rabuś nie mniej musiał się zaśmiewać, ukryty w zaroślach.

Dobrze to się śmiać jak człowiek nic nie stracił, ale byłoby smutniej, żeby znikły walizka, pieniądze i zegarek. A okna u mnie były otwarte.

No, wreszcie wycieczkowicze wrócili. Są pełni radości i zapału. A gdzie by im tam deszcz przeszkadzał! Czy to niema schronisk? Którędy oni nie szli, gdzie się nie wspinali! I na Zawrat, na Gładką Przełęcz, na Szczyglicową... Co tam było opowiadania, śmiechu, wspominek! Wybierają się teraz w Wysokie Tatry po czechosłowackiej stronie przez Łysą Polanę. Trzeba pokonać Gerlach. Pani Zosia ma prowadzić, jest doświadczoną taterniczką. Bodaj to zdrowie i młodość!

(D. n.) *Jadwiga Wasilkowska.*

## WIADOMOŚCI RADJOWE

Osmą plagą egipską radjofonji są pajęczarze. Wiele z tem utrapieniem ma kontrola radjowa. Wypada jej po tysiąc razy tłumaczyć ludziom, że gdyby nawet sumiennie i rzetelnie nie słuchali radja, traktowani być muszą jako rodjopajęczarze przez samo posiadanie instalacji radjowej w mieszkaniu, choćby nie było odbiornika, choćby tę instalację zakładał kto inny, albo, jeśli nawet niema przewodów uziemnienia, czy anteny, ale jest w domu odbiornik radjowy.

Takie patrzenie na rzeczy jest zgodne z logiką i z przepisami; niepodobna przecież wszystkiego przyjmować na wiarę, a niewiadomo, czy ktoś posiadający instalację, czy przewody uziemnienia czy anteny, nie zechce



któregokolwiek dnia sprowadzić do domu aparat i słuchać radja.

W gardle wysycha kontrolerowi od tłumaczenia ludziom, że: *rejestracja abonamentowa obowiązuje każdego posiadacza instalacji radiowej*, bo przecież posiadanie instalacji daje możność korzystania z programów radiowych w każdej chwili. Kto więc w domu — lokator lub sublokator — ma instalację radiową, a rzekł się abonentem lub z radja nie korzysta, powinien urządzenie radiowe zdemontować i usunąć z domu, jeśli nie chce narazić się na podejrzenie radiopajęczarstwa.

## RADJOPAJĘCZARZ NIEŚWIADOMY

W ciągu ośmiu lat istnienia specjalnej kontroli, zgromadzono wcale obfity materiał psychologiczny. Kontroler radiowy ma wyostrzone oko. ucho i sąd o rzeczy i ludziach. Rozróżnia on trzy zasadnicze rodzaje radiopajęczarstwa. W praktyce swojej bardzo często spotyka się z wypadkiem nieświadomości przepisów. Oczywiście, wedle kardynalnej zasady prawa, która głosi, że nikt nie może tłumaczyć się nieznajomością przepisów prawnych, nawet brak złej woli nie zwalnia radiopajęczarza od odpowiedzialności, a co najwyżej zalicza jego wykroczenie do pomniejszych. Podobnie bywa z człowiekiem, który przeoczył lub przespał w pociągu swoją stację i njechał o kilka stacyj dalej. W takim wypadku należy dopłacić różnicę do biletu.

Zdarza się, że ktoś założył instalację radiową z najlepszym zamiarem zarejestrowania jej w urzędzie pocztowym po wypróbowaniu dobroci odbiornika. Ludziom wydaje się, to słuszne w myśl zasady, że „nie kupuje się kota w worku”. I taki wypadek, choć niema w sobie cech złośliwości, jest radiopajęczarstwem. A przecież przepisy radiowe przewidują taki okres próbny i powiadają, że: „kto rejestruje odbiornik po 15-tym dniu miesiąca płaci abonament dopiero od następnego pierwszego. Można więc dwa tygodnie eksperymentując, słuchać radja zadarmo, ale zarejestrować się trzeba już z chwilą sprowadzenia instalacji do domu.

## TAKI, CO LEKCEWAŻY PRZEPISY.

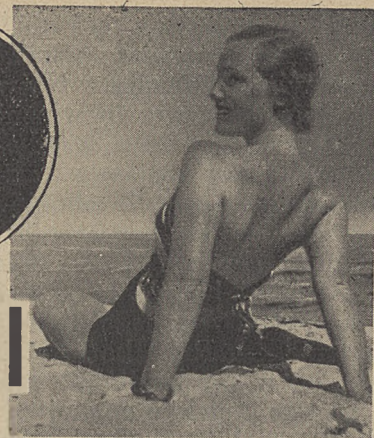
Są radiopajęczarze — lekkoduchy. Wie, że nie można mieć w domu instalacji bez abonamentu, ale powiada sobie: „Mam czas — drobiazg, panie dobrodzieju, niema się z czym śpieszyć”. W istocie nie ukrywa on niczego w mieszkaniu; słucha radja „na dziewiątkę” przy otwartych oknach i odkłada „przykrości” do następnego

pierwszego, albo daje zlecenie komuś z domowników, żeby „załatwił to tam przy sposobności”. No i „przy sposobności”... kontroli, wychodzi nieprzyjemność, aczkolwiek facet z gruntu był uczciwy. Jest to typowe lekceważenie przepisów, jak z takim w pociągu co mając bilet trzeciej klasy, idzie świadomie nocować w klasie drugiej.



Na plaży radzę wszystkim stosować

**Vasenol**  
puder higieniczny  
chroni skórę przed oparzeniami



Zakłady Przemysłowe „Vasenol” Tczew. Nr. Rej. K 30

## W REDŁOWIE

Świetnie pani wygląda — opalona, wypoczęta — gdzie to pani spędziła urlop — chyba nad morzem? Z tem pytaniem spotykam się od chwili powrotu do Warszawy, po 3 tygodniowym wypoczynku.

Otóż właśnie — byłam nad morzem, ale nie w pensjonacie, a na obozie Związku Rezerwistów w Redłowie pod Gdynią, w uroczym zakątku naszego wybrzeża.

I jakże pani się tam czuła? — przecież obóz nie posiada żadnych wygód, prymitywne życie, pożywienie z kotła, namioty i t. d.

— Oczywiście, a jednak to ma swój swoisty urok — ten prymityw — to bezpośrednie zetknięcie się mieszczucha z naturą, z której ciało i dusza czerpie zdrowie, czyż może być coś piękniejszego i bardziej pociągającego.

Obóz rozbity jest na polance, otoczonej z trzech stron lasami osłaniającymi go od wiatrów morskich, z czwartej strony rozpościera się wspa-

niały widok na morze, aż hen po Gdańsk, Hel i Oksywie.

Ogarnia człowieka zachwyty i radość, gdy patrzy na ten bezkres wód, mieniących się wszystkimi odcieniami szmaragdu i szafiru, żywiej bije serce, że tam dokąd sięga nasz wzrok, morze jest nasze, Polskie.

Z obozu do morza prowadzi ścieżka przez śliczną dolinę wśród lasów, następnie schodami zrobionymi z ziemi i drzewa, schodzi się ku plaży.

Niestety, na odcinku między Gdynią a Orłowem, wejście do morza jest kamieniste i przykre. Wobec tego jeden z uczestników, poddał myśl, ażeby chociaż częściowo je oczyścić z kamieni, co przyjęto z wielkim entuzjazmem.

Znalazło się sporo chętnych utworzono szeregi i z rąk do rąk podawano sobie kamienie, które składaliśmy na stos. Robota (zresztą poniekąd daremna, bo nazajutrz woda naniósł kamieni z powrotem) trwała 2 godziny — zadowolenia jednak, z tego



Obóz Związku Rezerwistów w Redłowie



obywatelskiego wyczynu, było wiele, tylko kucharz miał zmartwienie, bo apetyty się zdwoiły. Najwyższa instancja obozowa, to właśnie kucharz, pan życia i śmierci, a gdy mu się coś nie podoba, zostawia wszystko i cichaczem wieje. W obozie wtedy powstaje ogólne poruszenie i przygnębienie. Uczestnicy idą spać smętnie nastroszeni, bo „wiatr od morza” działa na apetyt. Ale nazajutrz wielkie zdumienie. — Przy kotle stoi nowy kucharz, w nieskazitelnie białym fartuchu i ze stoickim spokojem wkłada do kotła wielkie zwoje kiełbasy. To też humory odrazu się poprawiają.

Odżywianie w obozie jest obfite i smaczne, śniadanie, obiad, kolacja. Na podwieczorek czarna kawa (żołnierska), przezorny zawsze coś tam w zanadru do niej znajdzie.

Nastrój obozowy bardzo przyjemny, bo chociaż stale ktoś przybywa i ubywa, jednak po kilku dniach, nawet już po kilku godzinach wszyscy się znają i tworzą jakby jedną szarmonizowaną rodzinę. Zasługę przypisać tu należy kierownictwu. Jest sprężyste, życzliwe, czynne, wnika w psychikę ludzi, stara się zaspokoić wszelkie potrzeby i prośby uczestników, a jednocześnie dba o kulturalny poziom, do którego wszyscy muszą się podciągnąć.

Od czasu do czasu urządzone są ogniska. Kierownictwo wyławia ukryte talenty pośród uczestników. Dopełnienie, to śpiewy chóralne, no i ogień, który wytwarza tę specjalnie miłą i wzniosłą atmosferę. Punkt kulminacyjny to przemówienie kierownika, urodzonego krasomówcy, który ujmuje pięknie i głęboko znaczenie ogniska.

Na obozie, jak zresztą zawsze i wszędzie nie brak malkontentów. Z tymi jednak kierownicy świetnie dają sobie radę. Nie wiadomo jak to robią, ale każdy, kto wchodzi do zarządu z ponurą miną, wychodzi rozjaśniony i pogodny, a ten cud, to prawdopodobnie tylko takt, wyrozumiałość i miłe podejście kierownictwa do uczestników.

Obóz składa się z 8 wojskowych namiotów, oraz świetlicy, w której znajduje się szereg stołów i ławek. Świetlica to nie tylko miejsce posiłków ale i zebrania towarzyskie. Świetlica zaopatrzona jest w radjo, pisma, gry towarzyskie, patefon, oraz kawałek podłogi z wystającymi deskami, co nie przeszkadza, że świetnie się na niej tańczy do godz. 10 wieczorem. Potem obowiązuje cisza i spoczynek, nie dla każdego upragniony. Młodszy, zasobni w humor i gotówkę, wypuszczają się na dancig do Gdyni, lub Orłowa, muszą jednak znać hasło, inaczej warta do obozu w nocy ich nie wpuści.

Regulamin naogół jest bardzo łagodny. Obowiązuje o godz. 7 rano

modlitwa i podniesienie bandery, następnie gimnastyka, przestrzeżenie godzin posiłku i o godz. 9-ej wiecz. apel oraz opuszczenie sztandaru.

Gdy przyjdą dni pochmurne, nastrój obozowy się pogarsza, deszcz i zimno deprymująco działa na ludzi. Optymiści przyjmują to jako zjawisko całkiem naturalne, zbierają się wtedy w świetlicy i uprzyjemniają czas czytaniem, tańcem, słuchaniem radja i t. d. Pesymiści natomiast nudzą się, więc znikają ze swoim wisielczym humorem w namiotach, gdzie wysypiają się na twardych siennikach, za wszystkie czasy.

Naogół jednak można zaobserwować, że po kilku dniach pobytu nad morzem, ludzie stają się miłsi, lepsi, jakgdyby w morzu splukali wszystko

złó, a wchłonęli całe słońce, spokój i pogodę ducha. To też obóz, poza drobnymi niedociągnięciami, (niezależnie zresztą od kierownictwa) posiada same plusy, jako placówka turystyczno kulturalno-oświatowa, dostępna dla szerokich mas, dzięki ludziom, którzy całą energję i serce wkładają w pracę społeczną, stwarzając liczne obozy, rozsiane po kraju i poza jego granicami.

Nie koniec na tem. Mimo, że okres letnich obozów jeszcze nie ukończony. Zw. Rezerwistów myśli już o obozach zimowych w Worochcie, czy też w Zakopanem, bo wdzięczność uczestników obozów letnich jest bodźcem do dalszej owocnej pracy.

Jadwiga Krzemińska.

## „Tajemnice” Alexego Pedemontana

Niewiele ocalało starych książek polskich, traktujących o sprawach gospodarskich. W poszczególnych rodzinach przechowały się różne raptularze, zbiory „praktycznych” lub „wypróbowanych” przepisów kosmetycznych i kulinarnych, ale to są rękopisy niedostępne dla szerszego ogółu, — o słowo drukowane, starsze, niż wiek dziewiętnasty, trudno.

Toteż z ogromnem zainteresowaniem przestudjowałam gruby tom, oprawny w piękną skórę (mocno uszkodzoną przez myszy) i noszący następujący, skomplikowany tytuł:

Alexego Pedemontana

Medyka y Philosopha

TAJEMNICE

Wszystkim obojga płci nie tylko ku leczeniu rozmaitych chorób, począwszy od głowy, aż do stóp, bardzo potrzebna; ale y gospodarzom, rzemieślnikom, a zwłaszcza przedniejszych y subtelniejszych robót do ich rzemiosł. i innym wielce pożyteczne.

Z Łacińskiego języka na Polski przełożona, y w porządek dobry teraz wprawiona, do których przydane są lekarstwa wyborne y doświadczone na rozmaite choroby y innych rzeczy wiele.

przez Sebastjana Sleszkowskiego

M. y Ph. Doktora

Cum Gratis Privilegio S. K. M.  
w Krakowie

w Drukarni Franciszka Cezarego  
M.DC.XX.

A więc rok 1620, — przeszło cztery wieki temu układano takie dzieła uniwersalne, traktujące — o wszystkim.

Najciekawszy i bodajże najbogatszy jest dział kosmetyczny. Jeżeli gusta dzisiejsze i ówczesne bardzo są różne, bo naprzykład kobiety współ-

czesne chcą mieć cerę małą, a ówczesnym pięknościom chodziło o piękny połysk twarzy, o czym świadczy przepis: „Olejek pewny, który twarz lśniącą czyni” — to do wielu pojęć o pięknie z przed lat czterystu obecnie wracamy. Jest conajmniej kilkanaście przepisów na rozjaśnienie włosów, a więc naprzykład: „Na bielenie włosów (że będą jako srebro) rzecz doświadczona”. (Hallo! platynowe blondynki). „Na żółcenie włosów”. „Na kędzierzawienie włosów” i t. p.

Jeszcze zabawniejsze są wskazówki działu perfumeryjnego, jak naprzykład: „O gałkach albo pacierzach wonnych ku noszeniu przy sobie dla wonicy” lub też: „O tłustościach wonnych ku mazaniu rękawic dla wonicy przyjemnej”, lub też: „Mieszki wonne czynić”. A czego warte: „Tajemnicze lekarstwo niewieście, (używaj go, gdy się mężowi swemu nie podobasz!)”.

Bogaty bardzo jest dział różnych słodczy: konfitur, owoców i korzeni osmażanych w cukrze. Te ostatnie są zupełnie tak samo wykonywane, jak dzisiaj i z takich samych produktów: skórki pomarańczowe i cytrynowe, goździki, kolendra, anyż i t. p. Nie uważa się jednak tych rzeczy za zwykłe przysmaki, mówi się o nich: „O powłóczeniu cukrem rozmaitych rzeczy piersiom y członkom wewnętrznym służący”.

Na piersi ma tu służyć „cukier farbowany”. Inne przysmaki są skuteczne na żołądek, więc: „Przyprawy rozmaite pokarmów na choroby brzucha y jego członków wewnętrznych: jabłkowy konfekt, gruszkowy konfekt, śliwkowy konfekt, melonowy konfekt osobliwy, baniovowy konfekt, z moskatele gruszek małych konfekt i t. p.”

Jest nawet: „konfekt pigwowy,



który wzmacnia żołądek (trawienie mu dobrze czyni) płynienia mu wszelkiego y wracania broni i chuć jedzenia przywodzi".

„Tajemnice” Pedemontana są jednocześnie najstarszą (spotkaną przezemnie) książką kulinarną polską.

Królowe francuski i włoszki wprowadziły wprawdzie kuchnię zachodnioeuropejską przy dworze, a za przykładem dworu królewskiego poszły damy wielkopańskie, jednak widocznie wykonawcami byli bądź kucharze cudzoziemscy, bądź używano cudzoziemskich podręczników. Dział kulinarny u Pedemontana — poza słodyczami traktowanymi raczej jako środki lecznicze, nie jest bogaty i obfituje w przepisy dziwaczne, odrazę

we współczesnym czytelniku wzbudzające.

Naprzykład przepis: „Gęś żywą upiec”, napewno wywołał oburzenie nie tylko członków Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, lecz każdego współczesnego czytelnika, gdyż chodzi tu o takie upieczenie ptaka, aby przy krajaniu jej gęś gęgała i kręciła głową.

Tej okropności, przepisy o tem: „jak grzanki pozłociste czynić”, lub „jak ryby w papierowej rynce smażyć”, zapomnieć nie dadzą.

Szkoda, że brak miejsca nie pozwala mi przytoczyć większej ilości pouczeń i doświadczeń włoskiego „medyka y phylosopha”.

*Elżbieta Kiewnarska*

## O zawodzie drobiarki

Dzisiejsze warunki ekonomiczne skłaniają do zwrócenia uwagi na każdy dział gospodarstwa, który przy racjonalnej organizacji może się stać korzystnym źródłem dochodu.

Takim działem, który przy odpowiednim zorganizowaniu może zapewnić stały dochód, jest hodowla drobiu. W ostatnich czasach przestaje ona być uboczną i zaniedbaną dziedziną gospodarstwa rolnego, a staje się dochodowym jego działem, bądź też samodzielnie prowadzonym przedsiębiorstwem.

Należyte wyzyskanie źródła dochodu daje świadoma praca, oparta na dostatecznym przygotowaniu fachowem — teoretycznym i praktycznym, stąd też osoby fachowo przygotowane w danej dziedzinie, stają się coraz bardziej poszukiwane.

To zadanie przygotowania umiejętności pracowniczek na polu hodowli drobiu podjęła Szkoła Hodowli Drobiu w Julinie, stanowiąca obecnie własność Warszawskiej Izby Rolniczej, a założona i ufundowana przez p. Helenę Paderewską.

Jako jedyna szkoła zawodowa tego typu w Polsce, aby umożliwić wszystkim kształcenie się w dziedzinie hodowli drobiu, nie stawia specjalnego cenzusu naukowego przy przyjmowaniu uczennic.

Minimum wykształcenia stanowi świadectwo z ukończenia 7-oddziałowej szkoły powszechnej.

Należy wspomnieć, że specjalistki drobiarki kształci również od pewnego czasu Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, tu jednak program nauki nosi wybitne piętno wyższej uczelni. Jeśli chodzi o program nauki szkoły w Julinie, to oprócz wykładów hodowlanych jako zasadniczych, u-

względniiane są również wykłady z rolnictwa i ogrodnictwa, pozatem, przedmiotów uzupełniające, jak: zoologia, botanika, chemia, fizyka, rachunkowość, jajczarstwo, królikarstwo.

Ze wszystkimi pracami ogrodniczymi zaznajamiają się uczennice w ogrodzie który jest własnością szkoły.

Celem wzbudzenia wśród uczennic większego zainteresowania ogrodniczego. Szkoła prowadzi na terenie ogrodu konkursy ogrodników warzywnych i kwiatowych.

Zwiedzając Szkołę, trafiam na ciekawy dla mnie moment — na sztuczny wylęg kurcząt.

Z muślinowych woreczków, niby z powijaków, wysypują się prześliczne puchate kuleczki — rdzawo prążkowane potomstwo kur z gatunku Zielononózek kuropatwianych, jasno-żółte Leghornów, ciemniejsze — Rhode-Islandów.

Znajduje się wśród kurcząt pewien procent kalek. Takie braki, jak: zniekształcony łepiek, jedno tylko oko, skrzywiony dzióbek, lub przejawiająca się zdecydowanie „niemrawość” pisklęcia — kwalifikuje natychmiastowa selekcja pod okiem doświadczonej instruktorki, skazując kurczęta na doraźne „stracenie” z ręcznym uszkodzeniem nerwu w szyjce.

Owe przejawy zwyrodnienia wśród kurcząt nie są oczywiście wynikiem sztucznego wylęgu, są tylko procentowo większe przy znacznie większym liczbowo wylęgu, niż spod jednej np. kwoki.

Oswobodzone ze skorupki jajka i z muślinowych pieluszek, wędrują rozświergotane już pisklęta ponownie do odpowiedniej szuflady wylęgarni, ce-

lem dosuszenia. Następnego dnia „dziatwa” otrzyma pierwszy pokarm i od tej chwili będzie wzrastać przy „macosze”. Niewielki piecyk z cylindrem zastąpi pisklętom przez pewien czas matkę-kurę, aż do chwili, gdy ciepło własnego organizmu piskląt będzie wystarczające.

Oprócz tych lęgów sztucznych w wychowalniach różnych systemów, prowadzone są w szkole również lęgi naturalne, a celem hodowli w Julinie jest obok wyszkolenia uczennic — zwiększenie wydajności kur krajowych, oraz wytworzenie nieśnych rodów kur zagranicznych.

W dalszym ciągu zwiedzania oglądam budki dla kurcząt na powietrzu, kurniki dla niosek i dla t. zw. stadek rozplodowych, tworzonych z wybranych osobników drobiu.

Podziwiam cudownie ubarwione i zabawne w zachowaniu się kaczkę Pekingi i Piżmowce; od strony Liwca (rzeka ta przepływa obok) kroczy dostojnie stadko białych gęsi Pomorskich; pozatem, indyki amerykańskie. Mamuthy i gołębie Kaliny Polskie dopełniają ptasiego społeczeństwa, najliczniej reprezentowanego przez różnorodne gatunki kur.

Osoby, interesujące się hodowlą drobiu, są w Julinie mile widzianymi gośćmi. To też nie szczędzono czasu, aby mi pokazać duży, zwrócony frontem na południe dom, w którym mieszczą się: wygodny internat, zaopatrzone w wanny; świetlica, z aparatem radiowym; sala wykładowa, duża jadalnia i trzy werandy.

W drugim, nieco dalej położonym domku, odbywają się zajęcia praktyczne i pokazy.

Zbliża się pora odejścia pociągu, trzeba zbierać się do drogi.

Z pobliskich kurników dolatuje zgodne donośne pianie kogutów, wobec czego wyrażam obawę, że zapewne spotka mnie w drodze deszcz.

— Proszę pani, niewiadomo, — zawołała czupurna panna, jedna z uczennic-drobiarek. — „jeśli koguty nieia na grzędzie to — jak było tak będzie. Jak z ziemi — to się zmieni, jak z płota — to będzie słota”.

Uśmiechnęłam się na te gospodarские przesady, a po chwili zaczęły już spadać z nieba wielkie krople deszczu...

— Deszcz, deszcz, niech pani zostanie u nas na podwieczorku, zrobimy pani jeszcze jeden „kogel-mogel” ze świeżych, najlepszych jajek.

Mimo takiej życzliwości personelu nauczycielskiego i uczennic, zdecydowałam się jednak po krótkiej chwili, gdy deszczowa chmura pomknęła dalej, pożegnać miłe towarzystwo.

Na drodze, wiodącej przez las do kolei, do Urli, dobiegł do mych uszu

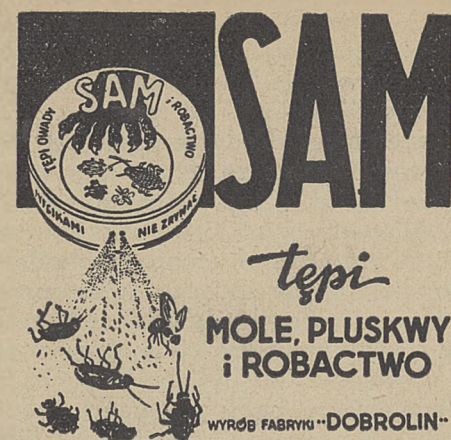


głośny rwetes ptasi. Obejrzałam się raz jeszcze za siebie. To na jednym z bliższych mi „wybiegów” przed kurnikiem, otrzymywało kolację ptactwo „krzykliwe, ruchawe”. A „w środku wysoko nad ptactwem się wznosi” — współczesna Zosia. „Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy... gęsty grad perłowych krup...” (Pan Tadeusz, ks. V).

Zosia Mickiewiczowska tłumaczyła cioci Telimienie, że „lubi zajmować się ptactwem... z nudy...”

Od „Zosi” dzisiejszej, kształconej przez rok w Julinie, wymagają, aby zajmowała się ptactwem ze szczerego zamiłowania, aby opuściwszy szkołę, stała się dzielną i umiejętną pracowniczką w drobiarstwie, a po powrocie do domu umiała prowadzić hodowlę własną, albo jako siła fachowa, czy też instruktorka, przyczyniała się do podniesienia drobiarstwa w Polsce.

Marwal



## ZIOŁA LECZNICZE

Niema odpowiedniejszej pory, niż lato i jesień do zbierania i suszenia roślin, przeważnie dziko rosnących, a po spolicie zwanych „ziólkami”. Trzeba je tylko znać, umieć przygotować i przystosować. Oprócz pożytku i ulgi, jakie nam ziółka niejednokrotnie przynoszą w różnych dolegliwościach, zbieranie ich stworzy miłe i pożyteczne zajęcie dla dziatwy, która na wyciągi będzie wyszukiwała wskazanych liści i kwiatów, a pod kierunkiem starszych suszyła i pakowała je odpowiednio.

Będzie to nie tylko pożyteczne zajęcie, ale i zabawa oraz pogładowa nauka przyrody.

Trzeba jedynie uchwycić odpowiednią chwilę do zbierania poszczególnych ziół, w jednych bowiem suszy się pąki, z drugich listki, z innych jeszcze kwiaty i korzonki.

Liście najlepiej zbierać już obeschnięte zaraz po deszczu, kory spłókał z nich kurz; kwiaty — w pierwszych chwilach rozkwitu. Zarówno liście, jak kwiaty, suszy się na otwartym powietrzu, unikając zbyt palących promieni słońca, które nadają kwiatom ciemną, jakby spaloną barwę a niemiły smak ziółkom.

Przejrzymy rośliny, otaczające nas na polach i w lasach, mniej lub więcej znane, zawierające własności lecznicze.

**Anyzek:** używa się dojrzałe ziarna; pół łyżeczki, zaparzamy filiżanką ukropu. po naciągnięciu cedzimy i pijemy ciepłe, przy boleściach, spowodowanych gazami i niestrawnością.

**Arnika:** kwiat suszony, zalewamy spirytusem i dodajemy po kilka kropel tej essencji do wody na okłady w razie potłuczenia.

**Chaber:** suszone listki kwiatowe: w wypadku zapalenia lub czerwoności oczu, napar ostudzony, używa się do przemywania i okładania powiek.

Do ziół używanych w wypadkach kataru, zaziębienia, dodatkowo działające w chorobach piersiowych są:

**Śluz:** kwiaty i liście ślazu ususzone, zaparzone na herbatę.

**Dziwanna:** suszonych listków kwiatowych, używa się jako domieszki do innych ziół na zaziębienie.

**Jasieniec:** napar z kwiatów i liści suszonych, używany na zimno, łagodzi gorączkę.

**Eucaliptus:** liści jego używa się do inhalacji i do picia. Przy zaziębieniu pije się go, jako ciepłą herbatę; inhalacja eucaliptusowa doskonale działa w chorobach kanałów oddechowych, zwłaszcza przy kokluszku. Chcąc stale mieć w pokoju zapach eucaliptusu, trzeba trzymać na maszynie gotujący się odwar z jego liści, a ulatniająca się para napełni pokój.

**Topolówka:** kwiaty, liście i korzenie topolówki mają własności kleiste i rozmiękczające. Napar z nich jest skuteczny na kaszel i zapalenie przewodu pokarmowego; używa się garść suchych kwiatów na litr wrzącej wody. Do płókania gardła bierze się 10 gr. wygotowanego korzenia topolówki z połową główki maku na 150 gr. wody, cedzi się po wygotowaniu i dodaje 30 gr. płynnego miodu. Z topolówki robi się t. zw. „panieńską skórę”, doskonałą na kaszel i chrypkę.

**Bluszcz ziemny:** roślina pnąca, odwar z jej liści i kwiatów zaparzonych doskonale działa na złagodzenie chrypki: wskazane jest picie tych ziółek w czasie grypy.

**Malwa:** liście i kwiaty suszone zaparzone, po ostudzeniu i przecedzeniu znakomicie służą jako napój, ludziom z wątlmiami płucami.

**Wołowy język, kwiat lipowy, jagody malin leśnych** — suszone, stosowane są na poty.

**Szałwia:** kwiat suszony daje płókanie ściągające, pomocne przy bólu gardła i zębów.

Do ziół, które dają dodatnie wyniki, przy chorobach żołądka, tak częstych w lecie, wskutek nieodpowiedniego lub nadmiernego odżywiania należą:

**Gencjana żółta:** suszone jej kwiaty, zaparzone w stosunku pół łyżeczki na

filiżankę wody, dają ziółka wzmacniające i regulujące żołądek.

**Czarne jagody:** nalewka z nich i sok, mało lub wcale nieocukrowany, stanowią doskonały środek na rozstrój żołądka, zwłaszcza u dzieci.

**Mięta pieprzowa:** liście jej suszone i zaparzone, dają ziółka rozgrzewające, bardzo aromatyczne, działające dodatnio przy rozstroju żołądka.

**Len:** ziarna dojrzałe, wygotowane w stosunku łyżki od zupy na szklankę wody, dają środek łagodzący i lekko przeczyszczający.

Zioła o działaniu rozwalniającym są następujące:

**Chmiel:** szyszki jego, zaparzone na herbatę, dają napój wzmacniający i lekko rozwalniający.

**Bez dziki:** kwiat suszony, jagody wysmażone na powidelka, są środkami silnie leczniczymi — kwiat — na poty, jagody — na rozwolnienie żołądka.

**Cykorja dzika:** suszone liście i kwiaty w kształcie liljowych gwiazdek, działają rozwalniająco, moczopędnie i antyfebrycznie.

Roślina bardzo pospolita, rosnąca na łąkach, ceniona dla swoich własności leczniczych, używana jest również w gorączce, przy kolce wątrobianej i żołądkowej.

**Jesion:** liści jego suszonych używamy w naparze (15 do 25 gr. na litr wody) jako środka przeczyszczającego.

**Szczaw łąkowy:** w ciągu lata jego korzenie wygotowane stanowią środek przeczyszczający (20 gr. suszonego korzenia szczawowego na litr wody).

**Piołun:** liście jego używane w odwarze i na nalewki, wzmacniają żołądek, pobudzają apetyt i trawienie: są lekko rozwalniające.

**Kminek i koper:** usuwają gazy, sprowadzające często przykre dolegliwości i wzdęcia.

Utworzony w ten sposób spis ziół, ułatwi nam zastosowanie ich w odpowiedniej chwili.

Wanda Pomian-Pomianowska



# Pullower na drutach z włóczki jedwabnej „MARKIZA”

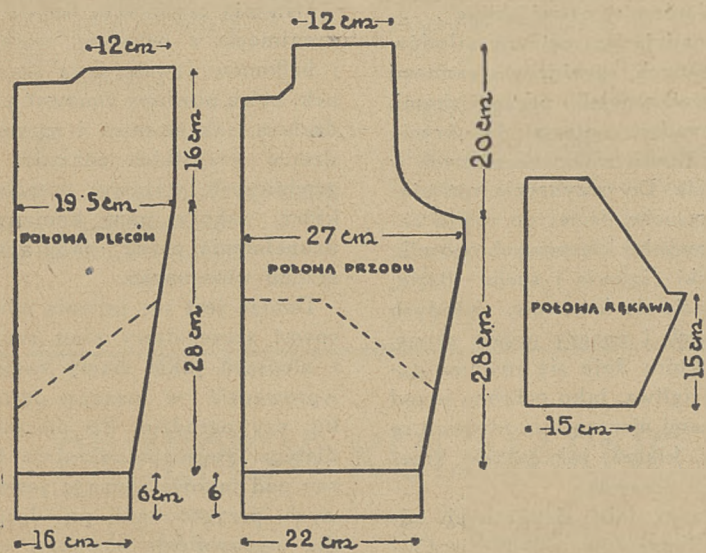
Materiał: 20 dkg. włóczki „MARKIZA” marki „Trójkąt w Kole”, druty Nr. 3.

Ściegi użyte:

I. Ścieg w pionowe pasy: przerabiamy naprzemian 5 oczek wprost, 5 nawywrót, w dalszych rzędach wypadają stale oczka prawe na prawych, lewe na lewych.

II. Ścieg w skośne pasy, rozchodzące się od środka. Przerabiamy naprzemian 5 oczek wprost, 5 nawywrót, powstałe w ten sposób pasy z oczek prawych i lewych przesuwamy w każdym rzędzie na prawej połowie roboty w prawo, na lewej w lewo. W środku roboty zaczynamy zawsze szpic, z którego rozchodzą się pasy od jednego oczka, patrz rycina.

Wykonujemy pullower w/g schematu kroju w oddzielnych częściach. Przód i plecy zaczynamy od dołu, odpowiednią ilością oczek i wykonujemy 30 rzędów ściągaczki pojedynczej na drutach Nr. 2. Dalej przerabiamy ścięciem Nr. 1, a od kropkowanych linii na kroju ścięciem Nr. II. Na wycięcia na rękawy zakończamy z brzegów roboty po 10 oczek, poczem ujmujemy na początku i na końcu każdego rzędu 6 razy po jednym oczku, dalej ujmujemy po jednym oczku tylko na końcu każdego rzędu do osiągnięcia odpowiedniej szerokości ramion. Dalej przerabiamy równo bez ujmowania. Na 5 cm. poniżej ramienia dzielimy przód na wycięcie przy szyi. Skośne brzegi wycięcia wykonujemy, jak opisano



NA 92 cm. OBWODU KLATKI PIERSIOWEJ



przy wycięciach na rękawy. Nakoniec przerabiamy kilka rzędów równo i zakończamy oczka ramion.

Rękawy zaczynamy od góry i wykonujemy ścięciem Nr. I. w/g schematu kroju. Zaczynamy je na 20 oczek i przerabiamy, dodając na początku i na końcu każdego rzędu po jednym oczku. Nakoniec dobieramy na obu brzegach po 10 nowych oczek i przerabiamy dalej, ujmując z obu brzegów po jednym oczku co 6 rzędów. Nakoniec zeszywamy wszystkie części i wszywamy rękawy. Na lewym ramieniu zostawiamy 6 cm. niezszyte na zapięcie. Spodni brzeg zapięcia obrabiamy listewką z 6-ciu rzędów półślupków i przyszywamy zatrzaski.



**DIEKNA, TRWAŁA, JEDWABISTA,  
TRÓJKĄT W KOLE WEŁNA CZYSTA!**

**Żądajcie TYGODNIKA KOBIECY we wszystkich zakładach fryzjerskich i kosmetycznych.**



**NACZYNIA ALUMINIOWE** łatwo ciemnieją, jeżeli są nieumiejętnie utrzymane. Doskonałym sposobem przywrócenia im pierwotnego wyglądu jest działanie kwasów naturalnych. Bieleją od gotowania w nich: szczawiu, kiszzonej kapusty i t.p. Po czystym umyciu wygotowanego rondla aluminiowego trzeba przetrzeć go watą metalową, a będzie jak nowy.

**ROSOŁU NIE NALEŻY SZUMOWAĆ W GOTOWANIU**, licząc się z tem, że w ten sposób pozbawiamy go najpożywniejszych składników. Natomiast ugotowany trzeba cedzić przez bardzo gęste sito (specjalne do rosółu), aby szumowiny nie przedostawały się do zupy.

**KARTOFLE I JARZYNY** czy szczone, czy obierane nie mogą leżeć w wodzie dłuższy czas przed gotowaniem, gdyż w ten sposób tracą cenne pożywki. Młode jarzynki najlepiej jest

umyć czysto szczotką ryżową (nieużywaną do niczego innego jak czyszczenia jarzyn), nie skrobiąc, ani obierając powierzchnię. W każdym razie czyścić w ostatniej chwili, wymyć czysto i natychmiast nastawiać. Gotować najlepiej na parze. W braku odpowiednich naczyń, w możliwie najmniejszej ilości wody, której nie należy wylewać, a używać jako podstawy do zup lub sosów. Woda, w której gotowały się jarzyny, jest bogata w składniki odżywcze.

**LIŚCIE SAŁATY** są bezcenne przy przechowywaniu produktów spożywczych. Nakrywamy nimi: mięso, wędliny, sery, których powierzchnię chcemy zabezpieczyć przed obсыhaniem, osłonić, a przytem nie izolować całkowicie od wpływu powietrza. Liście sałaty powinny być czysto wypłukane i doskonale osączone z wody.

Jesień, to sezon narówni niemal odpowiedzialny z sezonem wiosennym. Jest ona kresem wegetacji i równocześnie podwalnią pod sezon co przyjdzie z następną wiosną.

To, jak wyjdziemy naprzeciw jesieni ponosi w dużej mierze odpowiedzialność za plony przyszłej wiosny i przyszłego lata. Jesień to nie tylko zbiór, ale i dbałość o przyszłe zbiory. Jeżeli chcemy cieszyć się ich zasłużonym bogactwem nie zaniedbujemy żadnej czynności, które wcześniejszej i później jesieni przypadają w udziale.

A więc w pierwszym rzędzie staranny, umiejętny zbiór nasion. Nasiona zebrane w pełni dojrzałości (jednak przed osypaniem się z torebek nasiennych) trzeba przesuszyć w przewiewnym, suchym miejscu i dopiero wówczas wyłuskać z obłonek, zsytać do woreczków uszytych z niezbyt zwężonej tkaniny, a dla zabezpieczenia przed wilgocią i szkodnikami (myszy) nie układać na półkach, ani w szufladach, a zawieszać tak, aby powietrze miało wszechstronny dostęp.

Kwiatniki i grzędy oczyścić z obumarłych roślin, przekopać głęboko, pozostawić tak do późnej jesieni, poczem użyć nawozem stajennym i jeszcze raz przekopać bardzo płytko nie równając po przekopaniu powierzchni, co nazywamy „pozostawieniem w ostrej skibie”.

Z nadejściem ostrych chłódów jesiennych, grożących rannymi i wieczornymi przymrozkami, zgromadzić materiał do okrycia delikatnych roślin zimujących w gruncie. Do przykrycia róż piasek i suche liście; do roślin cebulkowych i kłączowych obornik, gałązki igliwia i suche liście; wreszcie do krzewów, młodych drzewek i pnączy prostą słomę, pod którą daje się również gałązki igliwia, jako ochronę przed myszami niszczącymi zarówno cebulki, kłącza, jak gałązki krzewów i drzewek.

Kłącza dalij, delikatnych odmian kosaćców, cebulki wrażliwych lilij i begonij bulwiastych trzeba wyjąć z ziemi, obsuszyć na otwartym powietrzu i przenieść do piwnicy po pierwszym lekkim przymrozk. Narcyzy, tulipany, hiacynty, lilje przykryć warstwą obornika i igliwia. Obornik służy nie tylko jako ochrona przed mrozami, ale równocześnie

użyźnia glebę, zapomocą przedstawiania się pożywek zawartych w nawozie do ziemi, pod wpływem opadów atmosferycznych. Z nadejściem silnych mrozów przykryć obornik i ochronną warstwą igliwia stosem suchych liści.

Wszelkie zabezpieczenie roślin na zimę musi być wykonane w porę, to znaczy dopiero z chwilą wyraźnego spadku temperatury. Zbyt wczesne nakrywanie powoduje zagrzanie, zgubne dla dalszej wegetacji, a niejednokrotnie nawet i wyniszczające rośliny.

Trawniki muszą być skoszone późną jesienią i natychmiast wygrabione; ziemia pomiędzy skupinami, zarówno, jak i dokoła krzewów owocowych i drzewek przekopana i użyźniona kompostem. Ten sam system stosujemy przy użyźnianiu pnączy. Przekopując ziemię należy uważać aby nie naruszyć i nie uszkodzić korzeni.

Ziemię pomiędzy krzaczkami truskawek i poziomek ogrodowych, starannie oczyszczoną z chwastów przyprusamy, z nadejściem mrozów, drobnym, słomianym nawozem stajennym. Wreszcie zanim mróz ściśnie ziemię osłoniemy warstwą nawozu miejsce wybrane na inspekt, aby ochronić je przed zamrożeniem, musimy bowiem liczyć się z tem, że zakładanie wczesnego inspektu to czynność przypadająca jeszcze na okres mrozów.

Ostatnią czynnością będzie uprzątnięcie z ogrodów, werend i balkonów ławek, oraz skrzynek, które powinny zimować pod dachem, jak również i zgromadzenie wszystkich narzędzi ogrodniczych, staranny przegląd, który wskaże nam konieczne uzupełnienia przed nadejściem sezonu wiosennego.

Dobrze jest też jesienią opracować szczegółowy plan zmian i ulepszeń jakie mamy zamiar wprowadzić w naszym ogródku, czy ogrodzie. Po pierwsze dlatego, że niejednokrotnie teren pod takowe wymaga jesiennych przygotowań; po drugie dla usprawnienia możliwości terminowego wypisania potrzebnych nam: drzewek, krzewów, cebulek, kłaczy sadzonek i nasion. Zamówienia trzeba wykonać zaraz po nowym roku, zapewniając sobie w ten sposób towar wyborowy, który będzie przesłany w odpowiedniej porze.

*Scabiosa.*

# SPORT WODNY

ILUSTR. DWUTYGODNIK  
poświęcony sprawom

WIOŚLARSTWA  
ŻEGLARSTWA  
PŁYWACTWA  
TURYSTYKI WOD.  
IYACHTINGU MOT.



W A R S Z A W A,  
BR. PIERACKIEGO 15  
TEL. 670-5

Okazowy zeszyt po wpłaceniu 1 zł. P. K. O. 6013





## Jadłospis tygodniowy

### NIEDZIELA:

Barszcz zabieleny.  
Risotto z groszkiem zielonym.  
Kurczęta z sałatą.  
Szarlotka.

Marchewka z groszkiem garnirowana grzankami.  
Mus z jabłek.

### PONIEDZIAŁEK:

Zupa pomidorowa czysta z grzaniczkami, albo ryżem.  
Kalafiory z masłem.  
Pierogi ze śliwkami.

Barszcz czysty na kostkach wieprzowych.  
Schab z młodą kapustą i kartoflami.  
Galaretką owocową.

### WTOREK:

Kartoflanka na baraninie.  
Kotleciki baranie — fasolka szparagowa — sałata — kartofle.  
Owoce sezonowe.

### PIĄTEK:

Zupa jarzynowa z łazankami.  
Grzyby w śmietanie — kartofle.  
Placek ze śliwkami.

### ŚRODA:

Sałata z rzodkiewki ze śmietaną i szczypiorkiem.  
Zupa na nerce cielęcej.

### SOBOTA:

Rosół z makaronem domowym.  
Sztuka mięsa — kartofle z koperkiem — mizerja.  
Sałatka z owoców mieszanych.

## PRZEPISY KULINARNE

### ZAPASY.

*Pieczarki w konserwie.* Porcja: 1 kg. pieczarek, 15 dk. masła świeżego tłustego, 1 i 1/2 dk. soli.

Młode, jędrne pieczarki oczyścić, ściąć ogonki, opłókać w wodzie zakwaszonej sokiem,

albo kwaskiem cytrynowym. Większe poszatkować, małe użyć w całości. Nie mieszać krajanych z całymi, ale przyrządzać każde oddzielnie.

Doskonale osączone z wody pieczarki włożyć w rozgrzane masło, dusić pod przykryciem na wolnym ogniu 20 minut. Zdjąć

przykrycie, wydusić do czystego masła. Układać w niewielkie słoiki, szczelnie zamknąć, sterylizować w aparacie godzinę. Przechować, jak wszystkie przetwory i konserwy w chłodnym, suchym miejscu. W użyciu zupełnie, jak świeże.

*Grzyby duszone w masle.* Młode, jędrne borowiki z białymi spodami przygotować tak, jak do duszenia. Wymyć same czapeczki w kilku wodach, wytrzeć do sucha czystą ściereczką, pokrajać na cienkie paski.

Rozpuścić w rondlu sporo masła, włożyć grzyby, lekko osolic. Dusić pod przykryciem pół godziny. Na zakończenie wsypać odrobinę mielonego pieprzu białego.

Gdy grzyby lekko przestygną, układać je w słoje od aparatu sterylizacyjnego, założyć gumki, zamknąć szklanymi wierzchami. Sterylizować godzinę przy 98 st. C.

Wydając takie grzyby na stół, trzeba udusić cebulkę z masłem, włożyć w masło grzyby, dusić chwilę na wolnym ogniu, a na wydaniu zaprawić młodą, wyborową, kwaśną śmietaną.

*Rydze sterylizowane do smażenia, jak świeże.* Porcja: 2 kg. rydzów, 1/2 kg. masła, 3 dk. soli.

Wybrać same jędrne, świeże, nierobaczywe rydze z zawiętemi brzegami. Obetrzeć ściereczką z ziemi, igliwa, mchu, które na nich osiadają. Wymyć. Osączyć na ściereczce, lub serwecie. Przed czyszczeniem poprzycinać ogonki równo z rydzem. Zasmażyć masło w dużym płaskim rondlu. Na gorącym masle ułożyć rydze ogonkami do góry. Posolic, przykryć. Dusić na wolnym ogniu, dopóki nie stracą surowego wyglądu, to znaczy lekko zwiotczeją.

Tak przygotowane rydze lekko przestudzić i ułożyć, znów ogonkami do góry, w słojach sterylizacyjnych. Założyć gumki i wierzchy, sterylizować godzinę przy 98 st. C. Po upływie trzech dni powtórzyć sterylizację, ale już tylko na przeciąg 30 minut.

Wydając rydze na stół, trzeba je zrumienić na świeżem, bardzo silnie rozgrzanem masle, zupełnie jak świeże.

*Fasolka szparagowa.* Młodziutką fasolkę szparagową oczyścić z włókien, wymyć czysto, osączyć. Gotować na obfitej

lekką osolonej wodzie 5 minut. Po obgotowaniu wybierać łyżką durszlakową i rzucać do obfitej zimnej wody. Osączyć.

Układać fasolkę w szerokie słoje do sterylizowania, zalać smakiem, w którym się gotowała. Sterylizować godzinę przy 98 st. C.

Chcąc zachować żywy zielony kolor fasolki szparagowej, można dodać do wody, w której się gotuje jarzynkę, szczyptę sody oczyszczanej. Nie popsuje smaku, a utrwali naturalną barwę.

*Szałotki marynowane.* Drobne cebulki zwane „szalotkami“, obrać z wierzchniej skórki, sparzyć wrzątkiem, wybierać z niego łyżką durszlakową i rzucać w zimną wodę. Ta zimna kąpiel wpływa na zachowanie pięknego, białego koloru. Osączyć cebulki z wody, wyjąć je na miskę i zalać mocnym octem, przegotowanym z cukrem. Po upływie 24 godzin zlać ocet, zagotować i zalać nim cebulki, ułożone w kamiennym garnku. Wystudzone owiazać pergaminem.

*Rydze marynowane w galaretkach.* Drobne, zdrowe i jędrne rydze (świeżo zbierane) obetrzeć gałgankiem, przycinając ogonki na równi z rydzem. Wymyć w kilku wodach, osączyć na sicie.

Układać rydze warstwami w płaskim dużym rondlu. Każdą warstwę posolic, przykryć cienkimi plasterkami cukrowej cebuli, rzucić kilka ziarenek pieprzu, ziela i dwa listki bobkowe. Na wierzchu powinna wypaść cebula. Dusić rydze pod przykryciem, dopóki cebula zupełnie nie zmięknie. W czasie duszenia nie mieszać, tylko potrząsać rondlem, żeby rydze nie przywarły. Dusić cały czas na wolnym ogniu i na zakrytej fajerce.

Gdy już cebula miękka, wlać kilka łyżek bardzo mocnego octu, gotować z nim jeszcze 5—10 minut, zależnie od ilości rydzów. Odstawić z rondlem, albo przelać na miskę kamienną, a gdy zupełnie wystygną, wyjmować łyżeczką, układać w słoikach dodając szalotki marynowane. Sos, który pozostanie, precedzić, wlać go na rydze, dopełnić słoiki bardzo mocnym octem do marynat, przegotowanym ze sporą ilością cukru i wystudzonym. Owiązać słoiki pergaminem, przechowywać jak wszystkie konserwy w chłodnej, suchej spiżarni.

*Grzyby marynowane.* Młode, jędrne grzybki prawdziwe obe-



trzcę gałgankiem z piasku, przyciąć im ogonki narówni z kapelusikiem, wymyć w kilku wodach, osączyć. Zagotować lekko osolony ocet, wrzucić we wrzący grzyby, gotować je około 5 minut, wylać na miskę kamienną, albo fajansową i pozostawić tak 24 godziny. Po upływie tego czasu obmyć grzyby w occie, w którym się gotowały, układać w szklanych słoikach główkami do góry. Przegotować mocnego octu do marynat soląc go lekko, dodając trochę cukru i korzeni. Wystudzić. Zimnym zalać grzyby.

*Rydze słone, czyli kiszone.* Świeżo zebrane, jędrne, zdrowe rydze (mogą być nawet zupełnie duże, byle nie robaczywe), obetrzeć starannie czystą ściereczką (nie płókać w wodzie). Układać w drewnianej fasce, albo w kamiennych garnkach tak jak rosły i przesywać solą każdą warstwę rydzów. Napełnione naczynie przykryć denkiem drewnianym, przycisnąć denko kamieniem, a w miarę osiadania rydzów w garnku dopełniać go świeżymi warstwami.

Chcąc podnieść smak rydzów, można przekładać warstwy plasterkami cebuli, rzucając gdzieś indziej parę ziarek pieprzu. Trzeba się jednak liczyć z tem, że rydze z dodatkiem cebuli tracą kolor, a przytem muszą być dosyć prędko zużyte, bo łatwo się psują.

*Młoda fasolka marynowana.* Małe strączki młodziutkiej fasolki poprzycinać z obydwóch stron, wymyć czysto, ułożyć na misce kamiennej, zalać dobrze soloną, przegotowaną i wystudzoną wodą. Trzymać tak długo, dopóki fasolka nie nabierze wyraźnie żółtego koloru. Wtedy wyjąć z wody, osączyć, ułożyć w garnku kamiennym, zalać wrzącym octem marynatowym.

Przez cztery dni codziennie zlewać ocet, zagotowywać go i wrzącym zalewać fasolkę, a piątego dnia dodać, gotując ocet, cukru do smaku i trochę korzeni, zalać znów wrzącym marynatę, a po wystudzeniu owinąć pergaminem i przechowywać, jak wyżej. Można też dodać do fasolki trochę szalotek marynowanych.

*Grzyby suszone na zimową jarzynę.* Piękne, młode, białe grzyby prawdziwe obetrzeć starannie z piasku, przyciąć korzenie, a same główki krajać na plasterki i rozsypywać na czystym płótnie cienką warstwą, tak aby jeden plasterek nie przylegał do drugiego. Suszyć w przewiewie na otwartem powietrzu, ale nie na słońcu. Gdy doskonale przeschną, zspać w szklany słoik, owinąć go pergaminem i przechowywać w chłodnym, suchym miejscu. Na kilka godzin przed duszeniem namoczyć grzyby w letnim słodkim mleku, a gdy spęcznieją, osączyć je i dusić w maśle z cebulą, podlewając śmietaną zupełnie, jak świeże. Będą wyśmienite.

*Korniszony w occie.* Wybrać drobne, zupełnie zdrowe korniszony. Obetrzeć je starannie z piasku czystym płótnem, ułożyć na misce, przesywając grubo solą. Pozostawić tak 24 godziny.

Po upływie tego czasu wyjąć korniszony z soli, jak najstaranniej obetrzeć, włożyć na miskę, zalać wrzącym octem, przegotowanym z drobnymi cebulkami, paroma ziarnami pieprzu, ziela angielskiego i listkiem bobkowym. Przykryć, pozostawić do drugiego dnia.

Wyjąć korniszony z octu, ułożyć w garnkach kamiennych, albo słoikach szklanych, ocet jeszcze raz przegotować dodając

do smaku trochę cukru. Zalać możliwie gorącym octem korniszony, a gdy wystygną, owinąć pergaminem.

*Pikle z nasiennek.* Zebrać duże, piękne ogórki nasiennek (zupełnie żółte). Obrąć cienko z wierzchniej skórki, przepołować wzdłuż, wybrać łyżką pestki i miąższ, pokrajać w paski na palec grube i długie. Ułożyć ogórki na misce kamiennej, przesywając obficie solą.

Na drugi dzień wyrzucić ogórki na sito, aby doskonale obciekły ze słonego sosu jaki się wytworzył i wrzucić je na obfitą wrzącą wodę. Zagotować raz jeden i zaraz wyjmować łyżką durszlakową na sito. Osączone z wody ogórki układać w słoikach, przesywając ziarnkami białej gorczycy, a kto lubi bardzo mocne może dodać i chrzanu krajanego w drobną kosteczkę. Słoik wypełnić w  $\frac{3}{4}$  i zalać następującą zaprawą:

Na cztery litry octu wziąć 80 dkg. cukru, zagotować i wyszumować, biorąc kilkanaście ziarn ziele angielskiego i kilka listków bobkowych. Zalać pikle możliwie najgorętszym octem, a po całkowitem wystudzeniu owinąć pergaminem.

*Melba*

#### PALUSZKI MIGDAŁOWE.

*Dodatki:* 250 gr. mąki pszennej, równa łyżeczka (3 gr.) proszku do pieczenia „Backin“ D-ra Oetkera, 50 gr. cukru, 1 paczka cukru waniljowego D-ra Oetkera, 6—7 łyżek stołowych mleka, 100 gr. masła, 100 gr. wyłuszczonej utartej migdałów.

*Do posmarowania:* 1 żółtko i 15 gr. migdałów.

*Sposób przyrządzania:* Wszystkie dodatki wyrabia się doskonale na ścisłe ciasto, roz-

wałkowane na grubość  $\frac{1}{2}$ — $\frac{3}{4}$  cm., wykrawa szerokie i długie na palec paski, smaruje żółtkiem i obsypuje tartem migdałami. Paluszki migdałowe piecze się na średnim ogniu 15—20 minut na kolor złocisty.

#### OZÓR W AUSZPIKU Z MADERĄ.

*Dodatki do rosółu galaretowego:* 9 listków białej żelatyny „Regina“ D-ra Oetkera,  $\frac{1}{2}$  litra gorącej wody, 3—4 łyżek stołowych wina białego, sok z 1 i  $\frac{1}{2}$  cytryny, 3 łyżki stołowe octu, soli i buljonu do smaku.

*Dodatki:* 1 peklowany ozór cielęcy wagi około 250 gr.

*Sposób przyrządzenia auszpi-ku:* Rozpuścić żelatynę w gorącej wodzie, dodać wszystkie inne składniki, zmieszać dokładnie, wlać mniej więcej na wysokość 1 i  $\frac{1}{2}$  cm. do płaskiej salaterki porcelanowej wypłokanej zimną wodą. Ściągnąć skórkę z ugotowanego na miękko ozora, pokrajać go na plasterki o grubości około 1 i  $\frac{1}{2}$  cm., ułożyć na stole galaretce. Następnie dodać tyle rosółu galaretowego, aby ozór był przykryty. Po stężeniu dodać pozostały rosół, postawić w zimnie na kilka godzin.

#### PRZEPISY NA BUDYNIE.

Przyrządzanie budyni D-ra Oetkera jest naogół bardzo łatwe, trzeba jednak stosować się ściśle do podanych przepisów, uważać na zachowanie podanych proporcji, a szczególnie ilości mleka i cukru. Przy rozpuszczaniu proszku dbać o to, aby tworzące się grudki były dobrze roztrzane. Gotujące się mleko (lub wodę), zdjąć z ognia, i dodawać masę, ciągle przytem mieszając. W ten sposób otrzymuje się ładną dla oka, smaczną i aromatyczną leguminę.

TREŚĆ NUMERU: Droga w nigdzie — *Zofja Petersowa*. Nasza rodzina policyjna — *Stanisława Goryńska*. Warszawska Jędrzejka — *Marja Dobrowolska*. Fundusz Pracy — *S. L. Bajka* w życiu dziecka — *Jadwiga Żylińska*. Okno na świat — *Argus*. Historia Helki — nowela — *Jadwiga Żylińska*. Odpowiedź na artykuł dyskusyjny — *J. Szaniawska* i *M. Byszevska*. Szlakiem południa — *Iza-bell*. Wróżka — *J. R.* Obrazek z letniska — *Jadwiga Wasilkowska*. Wiadomości Radjowe. W Redłowie — *Jadwiga Krzemińska*. Tajemnice Alexego Pedemontana — *Elżbieta Kiewnarska*. O zawodzie drobiarki — *Marwal*. Zioła lecznicze — *Wanda Pomian-Pomianowska*. Dobre rady. Przed końcem sezonu — *Scabiosa*. Jadłospis i przepisy kulinarne — *Melba*. *Mody roboty*.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

REDAKTORKA NACZELNA: *Wanda Dobrzańska*.

WYDAWCA: *Kobiece Spółdzielnia Wydawnicza*.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Natolińska 9. m. 13, tel. 7-08-03. Konto P. K. O. 13.191.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.

Drukarnia Krajowa w Warszawie. Chłodna 44. Tel. 5.88-70.





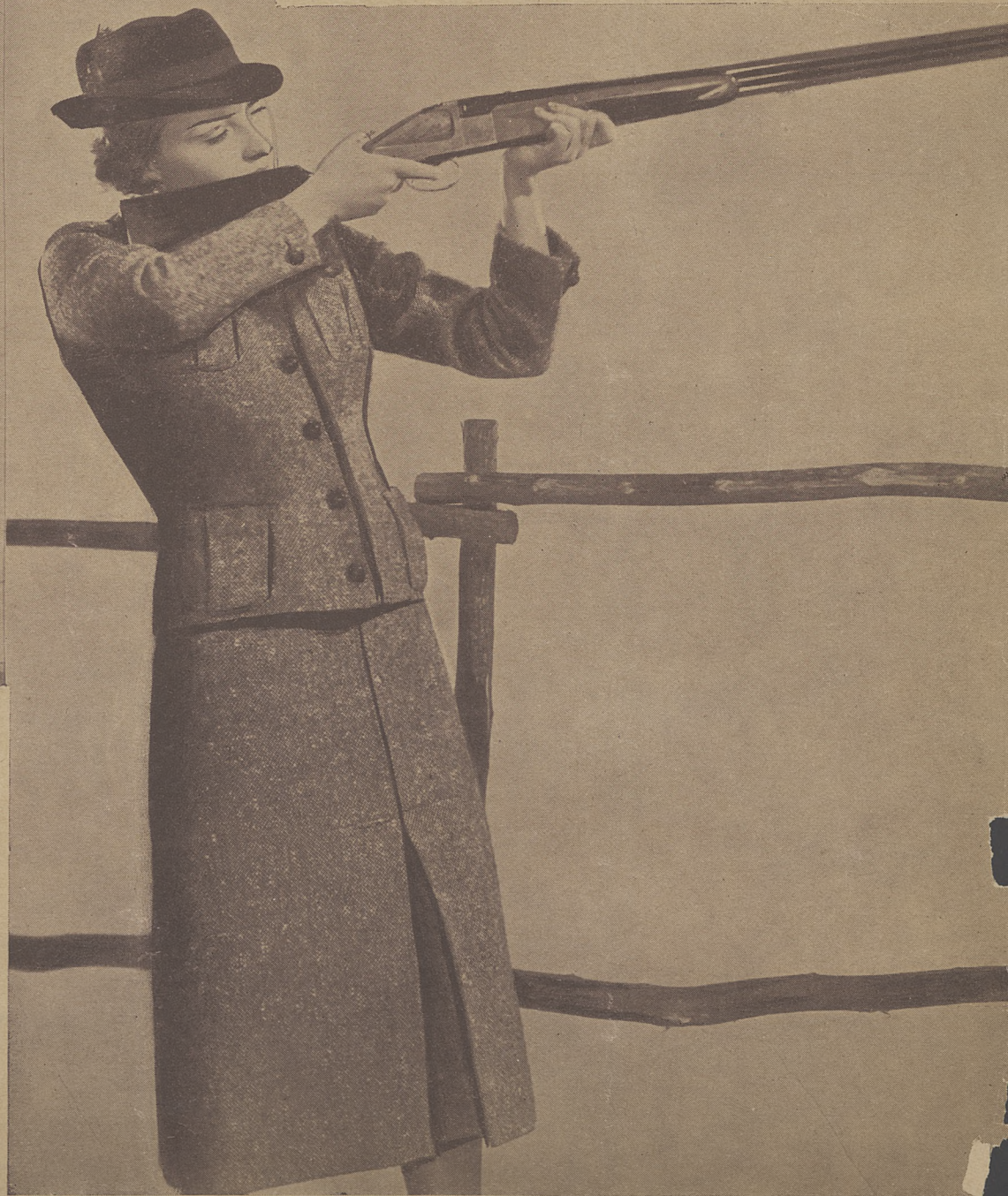
POŁOWA WZORU NA  
PODUSZKĘ

Kwiaty żółte, pomarańczowe, niebieskie  
i czerwone. Kiście szare ciemne i jas-  
ne obwiedzione czarnym.





Stanisław  
**Skwarajski**  
WARSZAWA BRACKA 10 TELEF. 9-30-89  
OKRYCIA, SUKNIĘ, KOSTJUMY.  
Od skromnych do wytwornych ~



GLADYS SWARTHOUT W KOSTJUMIE PO-  
POŁUDNIOWYM. ZAKIECIK SZNUROWANY  
Z PRZODU, PRZYBRANY NURKAMI.  
PHOTO PARAMOUNT.

KOSTJUM DO POLOWANIA Z GRUBEJ  
WĘLNY BRONZOWEJ, PRZYBRANY KIE-  
SZENIAMI. SPÓDNICA Z GŁĘBOKĄ FAŁDĄ.